

MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIII. Nr. 40. WARSZAWA, 17 WRZEŚNIA 1933 R. CENA NUMERU 80 GR.

JAN TRZECI

JAKO RYCERZ CHRZEŚCIJAŃSKI

(PRZEMÓWIENIE NA UROCZYSTEJ AKADEMJI W RATUSZU WARSZAWSKIM, W 250-LECIE „ODSIECZY", 12-GO WRZEŚNIA 1933).

I

SPÓJRZMY na mapę! Wyjdźmy od rodowego Sobieskich Oleska, gdzie, w noc sierpniową, biły pioruny nad kolebką małego króla. Leży to orle gniazdo rycerskie na rozdrożu jakgdyby, pomiędzy czarnym szlakiem wołyńskim, znaczonym nazwami jak Beresteczko, a niżem podolskim, spiętrzonym zamczyskami, jak Podhorce, Zbaraż i Trembowla, pamiętnym pobojowiskami, jak Podhajce, Żurawno, Żwaniec.

„Podczas urodzenia mojego" — zeznaje potomności Sobieski... „Tatarowie... podpadli... pod zamek". I dodaje, jakby na uzasadnienie tych dziwnych zbiegów okoliczności (coś jak piorunów zgonu Napoleońskiego w Longwood): „Pradziad (St. Żółkiewski), dziad (J. Żółkiewski), wuj (St. Daniłowicz) i brat rodzony (Marek Sobieski) od pogańskiej położeni ręki... za wiarę świętą i kościół Boży... Rodzice nasi, z mocnych zrodzeni przodków, bo i matka nasza nie białogłowskiego, ale męskiego była serca, największe sobie za nic mając niebezpieczeństwa, wprawowali nas za młodu, abyśmy nie byli wyrodkami od przodków swych, wystawując nam na oczy, jeszcze w dziecinnym będącym wieku, wielką sławę ich, ochotę i odwagę, na zaszczyt Kościoła Bożego i Ojczyzny, kazawszy nas, zaraz z obiecadłem (!), tego wiersza uczyć z nagrobka pradziada naszego: *O quam dulce et decorum est pro patria mori!*".

I czytywała zapewne pani Teofila Janowi i Markowi Sobieskim ów ustęp słynny z testamentu dziada i pradziada: „I poganie tak rozumieli", — pisał w nim mianowicie Żółkiewski — „że śmierć dla Ojczyzny słodsza: nuż jeszcze dla wiary świętej... Jednak, jeślibym w potrzebie umarł, miast aksamitu czarnego, który znaczy żałobę, niech trumna przykryta będzie szkarłatem na znak wylania krwie dla Rzeczypospolitej... Dawnom tego szukał, nie nad wolę żywot mój położę dla wiary św., dla służby W. Królewskiej Mości, dla Rzeczypospolitej, choć to od niej za wiele prac, za trudy, miasto wdzięczności, wielkiem znosił *oprobria*, żale...".

II

Jakie tam żale żywił młody Jan Sobieski do Jana Kazimierzowej Respubliki królewskiej, jakie od niej wycierpiał *oprobria*, nie nasza rzecz tu w to wchodzić, dość, że prawnuk, wnuk i syn regalistów prawych, znalazł się młodzieńcem, niby Kmicic jaki, pod sztandarami protestancko-masońskimi Karola Gustawa,

Spłynęła mu już była wtedy pierwsza młodość, ta „rzeźbiarka, co wykuwa żywot cały". Minęły dni szczęśliwe, dni, kiedy w Krakowie przemawiał z bratem Markiem na uroczystej inauguracji liceum fundacji Bartłomieja Nowodworskiego, tegosamego, co z ojcem ich, Jakóbem Sobieskim, szturmował był niegdyś Moskwę. Minęły dni, szczęśliwe dni wojażów zagranicznych. Minął więc był już Paryż, wytworny Paryż Ludwika Trzynastego, kardynała de Richelieu, Paryż Anny Austrjaczki, gdzie młody Jasio gwardzistą był w stylu Imć d'Artagnana, gdzie

przejął się był odtąd na dobre „precjozyjną“ kulturą stulecia. I Holandja też minęła, ta mistrzyni fortec i — jak nas jeszcze świeżo pouczał na kongresie historyków Jezuita Kleyntjens — prawdziwa dla Polski *leonum nutrix*, prawdziwa lwów żywicielka, skoro to jej szkoły strawą naukową takich zażywiały rycerzy, jak Chodkiewicz, jak Arciszewski i jak Jan III, który długo wspominać będzie tę szkołę, co po latach jeszcze, w sam wielki dzień Odsieczy, wzmiankować będzie w liście jednego z mistrzów strategji holenderskiej.

A teraz wracał młodzian do polskiej rzeczywistości, do szaro-krwawej przędzy walk i trudów, buntów, najazdów.

„Matka... nasza...“ — znów przyświadcza pani Teofili syn w swoim pamiętniku... — „nie po jedenkroć mawiała, że, gdyby tak który z synów... miał ujść z potrzeby, nigdybym go nie miała za syna i, pokazując nam nieraz na herb nasz (w kształcie tarczy), przypominała ową spartańską niewiastę, która, wyprawiając synów swoich na podobną ekspedycję, pokazywała im ich tarczę, mówiąc: „Z nią, albo na niej!“.

Więc harcował przyszły Jan Trzeci z Tatarami pod Beresteczkiem, lecz później, jak ów bohater „Potopu“, przechodził do obozu króla szwedzkiego. Niedługo wszakże mógł wytrwać w tym wrażym obozie czciciel Marji, ani splamić się dozgonnie hańbą Opalińskich i Radziwiłłów, więc był znowu w polu, ale tym razem pod innymi znaki, pod znaki regimentarza, co „nie z soli ani roli“ i hetmańskiemi pana Kewery. I ot! Sarmata z krwi i kości „obskurantem“ się jawił, — jak pięknie mówią przeciwnicy — „nacjonalistą“, „pogromszczykiem“. Bo i jakże? Z „Carolusem“ szwedzkim teraz walczył, ideałem ówczesnych wolnomyślicieli, przedzierając się za nim z pod Warki przez Czersk ku przedmieściom Warszawy; zdradliwych heretyków czeskich wyrzynał i wykurzał z leszczyńskiej ich kryjówki, przyczyniając się tak pośrednio do zniszczenia masońskiej roboty Komenjusza. Elektorowi brandenburskiemu się przeciwstawiał, temusamemu, którego szwedzcy współbracia w zakonie tajnym mienili „osobliwem światłem w Niemczech“ i — Rakoczego tępił, innego bohatera wolnej myśli i ojca wolnomularstwa, pustosząc mu wraz z Lubomirskim północne jego komitaty siedmiogrodzkie. A potem na Pomorze pędził niestrudzony partyzant zagończyk, a potem z Barjatyńskim walczył i z Szeremetjewem, który gotował właśnie zamach na Kraków.

III

Rozpoczynała się w życiu króla przyszłego epoka nowa: „*Obiit Kmicic, natus est Bayardus*“, ale ten Bayard, niestety! stawał się też w tym czasie „Sylwandrem“, dworskim kochankiem zalotnej Marysieńki. Nie mógł zaś nasz bohater na cześć uwielbianej swojej pani wypisać pochwał takich, jak inny wielki Polak na cześć żony:

> Znać, dłońby twoja z świętym jęła szałem
> Za miecz rycerskiej z Orleanu panny...

Nie, zaiste, pani ordynatowa Zamoyska, przyszła zaś hetmanowa Sobieska — to była mieszanina jeno osobliwa intryganctwa dworskiego na sosie włoskim, chciwości burżuazyjnej francuskiej oraz gorszego gatunku dewocji polskiej. Potrafiła ona rycerzowi swojemu, jadącemu na wyprawę wołyńską, posyłać skaplerz i krzyżyk, „w którym jest piękna relikwja, iżby, jeżeli Waszmość zabiją, znaleźli na Waszmości znamię chrześcijanina“. Potrafiła modlić się na intencję jego do cudownej Matki Boskiej w Sokalu czy w dniach Odsieczy, w katedrze wawelskiej. Potrafiła nawet spełnić ówczesne swoje *votum*, darząc Warszawę piękną świątynią, relikwiarzem barokowym Sakramentek.

Ale to była tylko jedna ze stron medalu. Skądinąd znamy tę Francuzicę, ruchliwą, kłótliwą, kochliwą. Znamy jej kręte matactwa przed zgonem męża i jeszcze lepiej marny zmierzch próżnego i płochego jej żywota. Wiemy dosyta, jak francuska ta gąska z trudem tylko i przyziemnie polatywała za naszym orłem. Naprawdę, nic on jej nie zawdzięczał, jej, co tylko dla uciech po całej rozjeżdżać umiała się Europie i na którą żalić się wtedy musiał, że, podczas gdy on walczy i zwycięża, „na żaden... list... od Waszmości serca mego nie ma... responsu“.

IV

Orzeł zaś wzbijał się już siłą własną coraz wyżej. Już sławą promienną okrywał się w okopach Podhajec, już triumf swój pierwszy odbywał w Warszawie, wiosną 1668 roku, już biegł, w ciężkim momencie rozterki wewnętrznej, na tatarskie czambuły z garścią kresowych rycerzy, już wskrzesić zdołał potężną armję Rzeczypospolitej i ruszył pod Chocimem, w starym okopie Chodkiewicza, na obóz Husseina; 120 dział tureckich — przedsmak Odsieczy — stało się wtedy łupem Polaków.

W wilję tego zwycięstwa umierał we Lwowie król Michał. Naród już wiedział tym razem, czyje ma uwieńczyć koroną skronie, zbiorowemu zaś jego instynktowi najpiękniejszy dał wyraz Kochowski:

> „Nie może większy“ — śpiewał — „skutek być wolności,
> Jak obrać Pana, własną kość z swych kości;
> Obcych rzuciwszy obietnice płonne,
> Piastowi w rękę rządy dać koronne.
>
> Piastowi, który, nie przysposobiony,
> Ale jest własnym synem tej Korony.
> Mając do matki afekt nie pasierbi,
> Wolności polskich pewnie nie uszczerbi.
>
> Piast zna w Koronie zasłużone domy,
> Języka, trybu i prawa świadomy,
> Wyniesie dobrych według zasług miary.
> Złym należytej nie odwlecze kary.
>
> Abdykowania da pokój imprezie,
> Do Neapolim skarbów nie wywiezie,
> Polską fortunę swem szczęściem mieć żąda,
> W Polski nieszczęściu w zad się nie ogląda.
>
> . . . .
>
> *Vivat ter Jo!* Echo się rozleci.
> Więc żyj i panuj długo, Janie Trzeci!“

V

Na tron Polski wstępował teraz mąż, o którym powiada, charakteryzując go, historyk: „Temperament ognisty, natura uczuciowo bogata, umysł bystry i otwarty, żarliwy w wierze, lecz, jak na owe czasy, swobodny w myśleniu, ogarniający wszystko — od spraw bałtyckich do czarnomorskich, od tajników dyplomacji do arkanów strategji i od filozofji i poezji do handlu i agronomji, charakter rwący się do wielkich czynów i najlepszej sławy,

mówca w gabinecie wykwintny, w senacie majestatyczny..., w obozie popularny i chwytający za serce".

Słowem—ideał Sarmaty. Na wiosnę jest królem, w jesieni zaś znowu w obozie, na rodzimem Podolu; już odzyskuje na Turkach: Bar, Mohylów, Bracław, już znowu broni Lwowa świetnym husarskim atakiem, już czyści ziemie polskie z najeźdźców.

Triumfator śpieszy teraz nareszcie na koronację do Krakowa, na sejmie zaś koronacyjnym przeprowadza doniosłą uchwałę o stutysięcznej armji.

VI

Ale przeciw takiemu królowi rozpoczynają też odrazu kontrofensywę wraże moce. Już trzy orły czarne ostrzą pazury do rozbiorowego szturmu. Już na Litwie, w Wielko- i Małopolsce podnoszą krnąbrne głowy warcholi, syczy na króla zazdrość i prywata. Już sprzedawczyki—prusofile odgrażają się na broniącego Pomorza Jana i ot — w niewiernym Gdańsku — dłoń tajemna podawa jednającemu sobie właśnie to miasto monarsze odtrąconą na szczęście truciznę.

Missus a Deo ma bowiem misję swoją do spełnienia. Na tronie papieskim zasiada od roku 1676 papież-żołnierz, Benedykt Odescalchi, Innocenty XI, który kieruje wielkiego króla na tor nowej krucjaty i ligi świętej. W kontuszowcu sarmackim rodzi się wtedy godzien najlepszych wzorów zachodnich dyplomata. Sobieski puka naraz do wszystkich dworów, do wszystkich wrót rozsyła swoje wici: Ispahanu nawet w rachubach swoich nie pomija czy dalekiej bodaj Adis-Abeby; mobilizować pragnie Wiedeń i Paryż, Budę i Wenecję do swoich antytureckich planów.

I gotuje się największa Polski wiktorja. Poprzedza ją zaś ostatnia w dotychczasowych dziejach świata wigilja rycerska. Nastrój mistyczny towarzyszy zbrojnym poczynaniom króla: to na Wawelu odkopie ktoś, przy robotach restauracyjnych, tarczę wróżebną, po dziś dzień tam przechowywaną, a wieszczącą w Janie Trzecim nowego Konstantyna, to w Marywilu Marysieńki nieznany znajdzie się obraz Madonny, to Bellotti, architekt Wilanowa, w sam dzień Odsieczy, funduje statuę Marji. I sam Sobieski, wiodąc pod Wiedeń ten hufiec, o którym się wyraża, że mu przypomina zastępy, które niegdyś wielki Godfryd wiódł do Ziemi Świętej, idzie pielgrzymką jakgdyby zbrojną przez sanktuarja polskie: częstochowskie, gdzie ze swym dworem spędza cały dzień na modlitwie, Kraków, gdzie szablę jego błogosławi nuncjusz i śląskie nareszcie Piekary.

W sam dzień „Cudu nad Wisłą" wyrusza więc wielka wyprawa. Król spada jak piorun na karki nie spodziewających się takiej sprawności bojowej Turków. I, jak lat temu sześćdziesiąt mnich Dominik pod Białą Górą, tak tu znowu mnich Marek, Piotr d'Amiens tej krucjaty, inspiruje i kieruje jej wodzami.

Zwycięża wkońcu duch i bucha w niebo triumf chrześcijańskich rycerzy. „Bóg i Pan nasz na wieki błogosławiony" — pisze Sobieski w nocy po bitwie z namiotów wielkiego wezyra — „dał zwycięstwo i sławę narodowi naszemu, o jakiej wieki przeszłe nie słyszały". Denhofa śle niezwłocznie do Papieża, by wręczył Innocentemu przesławną chorągiew proroka; Duponta pcha co koń wyskoczy ku Marysieńce, by wraz z nią zawiesił strzemię wezyra pod krucyfiksem wawelskim. „Przyszedłem, obejrzałem, Bóg zwyciężył" — oto motyw przewodni bohaterskiego poloneza, który ostatni król polski z Bożej łaski poprowadził na czele swoich hufców ze stoków Kahlenbergu pod stare mury świętego Szczepana.

VII

A potem, zaraz już i zawcześnie, spada czarna kurtyna historji przedrozbiorowej nad najpiękniejszem dziejów naszych widowiskiem.

Na placu pozostaje król przez swój naród osamotniony, przy boku jego intrygancka królowa, a z „błogosławieństwa, które w córkach, synach udziela niebo" — trzech niedowarzonych królewiczów. Ta fatalna lat trzynastka, co bohaterowi pozostaje do życia, wypełniona jest chybionemi wyprawami, niedociągniętymi traktatami, rozterkami publicznemi i rodzinnemi, spiskami, zdradami, upokorzeniami, chorobą. Puhar goryczy przelewa mu się po brzegi, blaski Odsieczy płowieją w oczach jego gasnących, wieniec cierniowy wrasta mu w skroń.

VIII

Ale — z tej nędzy ludzkiej, arcyludzkiej, ale z tej goryczy polskiej, arcypolskiej ocalają — trofea. Nad trumną królewską szumią przez stulecia, sadzone pod okiem jego, drzewa wilanowskie, świadkowie sławy, strażniki pamięci. Wieczorami, nad niemi, zapala się na firmamencie odkryta okiem wiernego gdańszczanina słynna „Tarcza", o której, w dniach niewoli, powie do Wojskiego Sędzia:

„Amen, rzekł na to Sędzia, ja wróżbę Waszeci
Przyjmuję: aby z gwiazdą zjawił się Jan Trzeci!

W odległym zaś Rzymie, procesja papieska rok w rok, we wrześniu, wielbi czyn króla Jana:

Te Joannem laudamus,
Te strenuum confitemur..
Fortis, fortis, fortis
Rex Poloniae...

I jest po dziś dzień zakątek w najdostojniejszem miejscu wskrzeszonej *Via dell'Impero*, w pobok kolumny Trajana, skąd na miasto swoje spogląda apostoł, naprzeciwko Forum, Kolosseum, Kapitolu, gdzie wdzięczny Papież uczcił najdroższego syna Jana świątynią, poświęconą Najświętszemu Imieniu Marji, *Santa Maria di Vienna.*

A i u nas w Warszawie, przez najcięższych lat sto, przeglądał się Jan Trzeci w śpiących, zmąconych niewolą wodach Łazienek — niby senne marzenie innego króla-lunatyka o czynie, o sławie, o boju...

IX

Dziś, gdy na całym potrochę świecie, ale wokół tego serca Europy, którem jest geograficznie Wiedeń, najmocniej — na przestrzeni od Hamburga do Messyny i od Renu do Wisły — znaczy się ponowny renesans nacjonalizmu, uchylmy czoła przed królewskością tego, co, jak żaden z naszych królów, był krwią z krwi naszej i kością z naszej kości, którego zaś ożywiająca go w złej i dobrej doli miłość ojczyzny była z miłości Boga. *Onorate l'altissimo re!*

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

Z OSTATNICH LAT SOBIESKIEGO

OSTATNIE lata życia nie oszczędziły goryczy bohaterskiemu królowi. Stałe spiskowanie rodów magnackich i dziwna obojętność ogółu szlacheckiego podcięły w Sobieskim wiarę w pomyślną przyszłość Polski. Nieszczęśliwy król nie znalazł sposobu, by zbudzić sumienie rodaków. Czując się coraz gorzej na zamku warszawskim, przebywał przeważnie w Żółkwi, Jaworowie i Wilanowie. Do klęsk i nieszczęść publicznych, nieustannie trapiących starzejącego się króla, przybywały przeżycia domowe. Najczulszy małżonek i troskliwy ojciec, nie zaznał Jan III przy końcu życia szczęścia rodzinnego. Królewicz Jakób czepiał się dworu wiedeńskiego. Królowa Marja Kazimiera, jeszcze piękna i młoda, wysuwając się na plan pierwszy, wojowała ciągle z najstarszym synem, starając się uzbroić przeciwko Jakóbowi drugiego z kolei syna, Aleksandra. Na tem tle dochodziło do gorszących kłótni i niesnasek. Córka Teresa, poślubiwszy w 1694 roku ks. Maksymiljana Emanuela bawarskiego, przebywała poza Polską. Ciężkie dolegliwości fizyczne niszczyły ciało i osłabiały wolę królewską. Jan III zniechęcił się, upadał na duchu i coraz bardziej tracił energję. Widoczną stawała się potrzeba troskliwszego zajęcia się jego zdrowiem.

W tym też czasie na dworze królewskim zaczyna odgrywać dużą rolę żyd, Emanuel de Jona, cieszący się wśród swoich opinją zdolnego lekarza. Wykształcony i przebiegły Izraelita wkradł się w krótkim czasie w łaski schorowanego władcy; umiał zjednać sobie też rodzinę królewską. I tutaj powtórzyła się stara, jak świat, historja. „Szczęście de Jona",—pisze Aleksander Kraushar w „Drobiazgach historycznych" (str. 178),—„ściągnęło doń wielu współwyznawców w nadziei, że korzystać będą z łaski dworu".

Wśród tych ostatnich na wyróżnienie zasługuje Becal *vel* Betsol, rodem z Rusi. Tak sprytnie poczynał sobie na zamku warszawskim, że w krótkim czasie stał się nieodzownym. Uświadomiony przez współwyznawcę, Jonę o chciwości Marysieńki, już przy pierwszem widzeniu się z królową Becal ofiarował jej znaczniejszą sumę pieniężną. Sprytny żyd wiedział dobrze, że wkrótce hojnie sobie ten upominek wynagrodzić zdoła. Za pośrednictwem Jony zaproponował on Marji Kazimierze wzięcie w dzierżawę jednego z kluczów królewskich, ofiarowując znacznie większy czynsz, niż wynosił rzeczywisty dochód z dzierżawy. Straty nie potrzebował się obawiać. Poddani królewscy, chrześcijanie, zwrócili mu ją z procentem. Od czegóż zgraja pośredników żydowskich, no i powaga bankiera królowej! Marysieńce uśmiechała się też bardzo myśl powiększenia dochodów z królewszczyzny. Łaskawie raczyła przyjąć ofertę Becala. W parę lat potem usłużny Izraelita stał się generalnym dzierżawcą wszystkich dóbr królewskich, które wziął pod takiemiż warunkami.

Nie zadowolił się tem jednak. Za wstawieniem się królowej uzyskał pozwolenie Jana III na objęcie w dzierżawę wszystkich ceł i kopalń. Niemały gniew powstał wśród szlachty na zachłanność żydowską. Niewiele robił sobie z tego generalny dzierżawca ceł i dóbr królewskich. Dla zabezpieczenia całości swojej osoby i majątku otoczył się Becal orszakiem zbrojnej szlachty, pozatem liczył i na opiekę królewską. Dając więcej, niż przynosić mogły królewszczyzny, prywatne dobra i cła, budził Becal w królu chęć do zbierania bogactw, potrzebnych w przyszłości dla zabezpieczenia korony królewiczowi Jakóbowi. Nie mając pociechy z rodziny, Jan III mimo to skrzętnie gromadził dla niej majątek i pod koniec życia stał się bardzo oszczędny. „Sobieski", — pisze Kraushar („Drobiazgi historyczne", str. 178), — „tak był zadowolony z Becala, że zaczął za jego wstawieniem się rozdawać łaski".

Zarząd olbrzymiego majątku królewskiego objął ten przebiegły spekulant. Ciesząc się zaufaniem pary królewskiej, zaczął odgrywać znaczną rolę na dworze, jako skarbnik i admistrator całej fortuny Sobieskich. Uprawiając lichwę, potrafił tak zręcznie się zamaskować, że uchodził w oczach rodziny Sobieskich za najusłużniejszego przyjaciela, uczciwego i bezinteresownego. Przez stosunek z rodziną królewską stał się niebylejaką figurą, „przed którą"— jak zaznacza Kraushar („Drob. hist." str. 182), — „kłaniać się musiały pieczęcie, buławy, laski". Gromadząc wielkie bogactwa dla pary królewskiej, nie zapominał i o sobie. Zebrał ogromny majątek, wzbudzając zawiść podupadłej szlachty. Wielka władza jednak, skupiająca się w rękach Izraelity, faworyta Jana III i Marji Kazimiery, uczyniła, że starano się powszechnie o zaskarbienie jego względów. Kto dawał więcej, miał zapewnioną protekcję. Doszło do tego, że Becal naznaczał taksę dla kandydatów na wakujące urzędy. „Szlachta garnęła się do faworyta królewskiego"—pisze Kraushar („Drob. hist." str. 179) — „Becala uważano powszechnie za jakiegoś ministra państwa, a nie za prostego dzierżawcę. Urzędy, starostwa i inne posady, z wyjątkiem województw i dygnitarstw wielkich koronnych, dostawały się ludziom, którzy się o nie wprzódy z Becalem umówili. Narzekano na zaślepienie króla i nienawidzono sprawcę takich nadużyć. Żydzi, przeciwnie, czcili Becala jako nowego Mardocheusza i nie robili żadnej różnicy między Ahaswerem i Sobieskim". Ogółowi polskiemu nie podobała się zażyłość człowieka obcej rasy z domem królewskim. Opinja publiczna obwiniała lekarza de Jona i Becala o handel zaufaniem królewskiem. „Dwóch Żydów — zaznacza Kraushar („Drob. hist." str. 177)—„zawdzięczając protekcji królowej, opanowało króla Jana. Jeden, doktór Jona owładnął jego ciałem, drugi Becal, dochodami z komory celnej".

Jak zachwiana została powaga tronu w ostatnich latach życia Sobieskiego, dowodzi fakt następujący. Na rok przed śmiercią Jana III krążyła po stolicy karykatura, wyobrażająca bohatera chrześcijaństwa w postaci wekslarza, któremu żyd Becal sypie do kieszeni pieniądze. Sprzedaż łaski królewskiej i popełnianie zdzierstw na komorach celnych przez Becala stawały się jednak coraz głośniejsze. Napróżno arogancki żyd starał się zyskać licznych, wpływowych dygnitarzy, opłacając się im sowicie. Sapiehowie, będący w zatargu z rodziną królewską, postanowili wyzyskać wzrastającą nienawiść społeczeństwa przeciwko nadużyciom zgrai żydowskiej i wystąpić publicznie przeciwko faworytowi królowej. Sapiehom szło o poniżenie autorytetu Sobieskich przez ujawnienie skandalicznych nadużyć, jakich się ów Izraelita pod osłoną opieki dworu na szlachcie dopuszczał.

W listopadzie 1692 r., za przyczynieniem się Władysława Józefata Sapiehy Trybunał koronny lubelski wezwał Jakóba Becala i jego pomocników, Jakóba Siekarza i Abrahama Jakubowicza, ażeby w ciągu dwóch tygodni stawili się osobiście na rozprawę. Oskarżono ich o świętokradztwo, fałszerstwa, zdzierstwa i gwałty, popełniane na wielu osobach. Sapiehom dopomogli w zwalczeniu Becala: biskup chełmski Stanisław Witwicki i wojewoda sieradzki Jan Pieniążek, którzy na sejmie grodzieńskim w 1693 r. wnieśli przeciwko dzierżawcy ceł skargę o bluźnierstwo (Szujski, „Dzieje Polski", t. IV. 120). Daremnie zabiegał potężny żyd u dworu królewskiego i wpływowych senatorów. Oskarżeni skazani zostali na karę infamji i konfiskatę majątku.

Głośna ta sprawa zaszkodziła bardzo rodzinie Sobieskich w opinji społeczeństwa szlacheckiego. Najmniej zawinił tutaj sam król. Schorowany władca we wszystkiem ulegał żonie, która tolerowała występne poczynania swego bankiera i dłuższy czas nie informowała o tem męża.

Na konfiskacie majątku Becala Sobiescy stracili poważne sumy. Idąc za powszechnym w kraju zwyczajem, za przykładem magnatów polskich, rodzina królewska ulokowała u dzierżawcy swego dość znaczne fundusze, których już więcej nie oglądano. Aleksander Kraushar podaje, iż Sobiescy stracili przeszło czterysta tysięcy liwrów na „bankructwie" Becala.

O wiele łaskawszym okazał się los dla lekarza, Emanuela de Jona. Ręka sprawiedliwości nie dosięgła tego przebiegłego żyda. Zaufany doradca króla, przed którym rodzina Sobieskich nie miała podobno tajemnic, zakończył karjerę nadwornego lekarza procesem. Dwuznaczna rola Jony bowiem podczas choroby Jana III nasunęła poważne podejrzenie, że przyczynił się on do śmierci króla bohatera. Wytoczono mu proces o otrucie Sobieskiego (Bałaban, Schipper: „Żydzi w Polsce Odrodzonej", str. 292). Uniewinniony, został zaszczycony przez współwyznawców szeregiem odznaczeń. Zmarł otoczony szacunkiem mas żydowskich.

ANTONI RAWICZ

WALKA O POMORZE

POD tym tytułem wyszła przed pięciu laty w Poznaniu, nakładem Księgarni św. Wojciecha, monografja historyczna Wacława Sobieskiego. W swoim czasie pisał o niej w „Myśli Narodowej" młody jeszcze, ale już zasłużony historyk (jeden z najwybitniejszych uczniów autora), Kazimierz Lepszy. Dziś jednak, kiedy się niedawno ukazała ta książka w opracowaniu niemieckiem i kiedy dzięki temu będą ją czytali nietylko Polacy, ale i cudzoziemcy, warto ją przypomnieć czytelnikom „Myśli Narodowej".

Prawdziwa to perła naszej historjografji, będąca nietylko znakomitem dziełem, i to zarówno naukowem, jak artystycznem, ale nadto, ze względu na żywotność swego przedmiotu, pełnym znaczenia i zasługi czynem narodowym.

Bo czy wiele było tak żywotnych zagadnień za naszej przeszłości, czy wiele jest tak żywotnych dzisiaj i czy wiele tak żywotnych będzie w naszej przyszłości, jak walka o Pomorze? „Dla nas, Polaków"—pisze Sobieski zaraz na początku swego dzieła — „walka o Pomorze nie jest walką tylko o kawał ziemi, ale o coś więcej. Wieki zapasów nauczyły nas, że zajęcie Pomorza przez Niemców, to wyrok śmierci na Polskę, to początek jej agonji. Wszak rozbiór Polski zaczął się od zaboru Pomorza przez Fryderyka II! Ujście Wisły to amulet życia naszego narodu. Kto je Polsce zabiera, ten ją zabija". A dalej: „Pomorze jest zroszone i przesiąknięte krwią naszych ojców tak, jak żadna inna ziemia nasza — o ten kraj stoczyliśmy setki bitew i ową ze wszystkich największą — pod Grunwaldem". I jeszcze: „Polska jest dzisiaj jak taternik, co, wisząc na linie, wspina się, aby na szczycie zyskać nowe widnokręgi. Tym sznurem dzisiaj jest wąskie pasemko ziemi, które dotyka morza. Jeśli kto ten sznur przetnie, to Polska runie w przepaść".

Czem jest Pomorze dla Polski, to doskonale rozumiał Bismarck, który, nie mogąc się opędzić strasznej dla siebie i dla wszystkich Prusaków myśli, że Polska prędzej czy później zmartwychwstanie, tak mówił dnia 23 września 1894 roku w Warzynie, wobec deputacji Niemców z Prus Zachodnich: „Posiadanie Gdańska dla ewentualnego państwa polskiego ze stolicą w Warszawie byłoby jeszcze bardziej palącą potrzebą, aniżeli posiadanie Poznania: Poznań, tak będą sobie myśleli Polacy, nie ucieknie im, bo mają tam swojego arcybiskupa, ale na wybrzeżu morskiem pierwszem miastem, które musiałoby posiąść państwo warszawskie, jest Gdańsk. Gdyby kiedykolwiek załamał się dzisiejszy stan polityczny Europy na naszą szkodę, to Polacy w Gdańsku byliby dla nas jeszcze niebezpieczniejsi aniżeli w Poznańskiem".

A dużo jeszcze wcześniej, dnia 18 marca roku 1867, w parlamencie berlińskim mówił Bismarck, że Polacy nie mają żadnego prawa do Prus Zachodnich, że polonizowali Prusy Królewskie nie kulturą, tylko „ogniem, mieczem i przymusem", że natomiast Niemcy zajęli Pomorze mocą jak najściślej prawnych układów *(„duch die rechtmässigsten Verträge")*.

„Moi panowie" — mówił Bismarck dalej, zwracając się do posłów poznańskich i pomorskich — „jak możecie w obliczu takich faktów, w obliczu tak oczywistej przemocy, jaką się wasi przodkowie zawsze posługiwali tam, gdzie mieli władzę, jak możecie powoływać się na historję, — tego ja naprawdę pojąć nie mogę. Wasze prawo do Prus Zachodnich dopóty miało jakąś wartość, dopóki szabla wasza, którąście je zdobyli, była mocna. Gdy osłabło wasze ramię, znika wasze prawo" [1])...

Cała książka Sobieskiego jest jedną wielką odpowiedzią na te niegodziwe kłamstwa i tę ohydną, iście pruską, logikę Bismarcka i poganianego przezeń, za życia i z za grobu, całego stada historyków pruskich. Na każdym kroku piętnuje i demaskuje autor wszystkie ich kłamstwa i oszczerstwa na Polskę; odsłania w całej nagości wszystkie gwałty i zbrodnie, jakich się przez wieki całe dopuszczali Niemcy na tubylczej ludności pomorskiej, jak np. zabójstwo Przemysława, uknute przez mar-

[1]) Tę swoistą etykę Bismarcka scharakteryzował kiedyś autor *„Geschichte Polens"*, Jakób Caro, temi słowy, *„der grösste Ethiker der neuen Geschichte für alle diejenigen, die nicht Sittlichkeit mit Süsslichkeit verwechseln"* (dosłownie: ob. *„Zeitschrift für vergleichende Literaturgeschichte"*, *Neue Folge*, tom XII, str. 492, w recenzji Arnolda *„T. Kościuszko in der deutschen Litteratur"*). Ciekawa to próbka etyki semickiej!).

grabiów brandenburskich, wymordowanie szlachty pomorskiej w Gdańsku w roku 1306 i t. d., nie mówiąc już o latach późniejszych — o nieszczęsnej doli Pomorza w czasach porozbiorowych.

Lecz myliłby się, ktoby sądził, że książka Sobieskiego ma charakter wybitnie polemiczny. Wprawdzie polemiki autor uniknąć nie chciał i nie mógł: przecie elementarnym obowiązkiem historyka jest poddać krytyce naukowej nietylko wszystkie możliwe źródła przedmiotu, ale także wszystkie jego dotychczasowe opracowania, zarówno naukowe, jak i nienaukowe. Ta jednak krytyka, ta polemika jest w książce jakby tylko dodatkiem: jej naczelnem zadaniem i, co za tem idzie treścią główną, jest nie obnażanie nieprawdy, tylko wyświetlanie prawdy.

I wyświetla ją autor ze wszystkiemi szczegółami — opowiada historję walki o Pomorze od najdawniejszych, dostępnych badaniom naukowym czasów, aż do pokoju wersalskiego, który nie dał wprawdzie Polsce wszystkiego, co jej ukradziono, ale który, bądź co bądź, przyznając jej skrawek wybrzeża morskiego, umożliwił rozpoczęcie odbudowy utraconego państwa.

A z tej opowieści wyłania się przedewszystkiem ta, starannie ukrywana przez niektórych historyków niemieckich, niezbita prawda, że nie Niemcy, tylko Polska ma prawo do posiadania Pomorza, albowiem tylko Polska, nawracając pogański lud tej ziemi na chrześcijaństwo, wprowadziła go do cywilizacji europejskiej; Gdańsk nie stanowi tu wyjątku: pierwszy krzyż u ujścia Wisły postawili nie Niemcy, tylko Polacy, którzy przyszli tu „nie z krwawym orężem najeźdźcy, ale ze słowem, odzywającem się do dobrej woli braci Pomorzan gdańskich“. A nietylko Bolesław Chrobry — „przez to, że krzyż postawił w Gdańsku,... wyrwał Niemcom tytuł pionierów kultury *(Kulturträger)*, ...ale tak samo i jego praprawnuk, Bolesław Krzywousty, — przez to, że nawrócił Pomorze nadodrzańskie: nietylko bowiem miecz polski wdzierał się w błota pomorskie, ale obok niego szli kapłani z krzyżem w ręku i hasłem miłości Chrystusowej“.

Prawdą jest dalej, że później, w wieku XIII, książę szczeciński Mszczuj II szukał pomocy przeciwko chcącym opanować całe Pomorze Brandenburczykom nie gdzieindziej, tylko w Wielkopolsce — u Bolesława Pobożnego, a po jego śmierci—u jego bratanka Przemysława II, którego, jako sam bezdzietny, uznał za swego „ukochanego synaczka“ i któremu na zjeździe w Kępnie r. 1282 podarował całe Pomorze; „zjazd panów i szlachty pomorskiej zgodził się na to, czyli dokonał... dobrowolnej elekcji, składając Przemysławowi za życia Mszczuja hołd i zaprzysięgając mu wierność“. Tym sposobem wracało Pomorze do Polski „nie drogą gwałtu, podboju, przymusu, ale drogą pokojowej, przyjaznej unji“; dokonali zaś tej unji Pomorzanie dlatego, że „się sami czuli Polakami“ i „uważali za należących do królestwa polskiego“.

A i to jest prawdą (której sami Niemcy zaprzeczyć nie mogą), że w wieku XV stany pruskie także dobrowolnie połączyły się z Polską.

Cóż dopiero mówić o tej prawdzie, że Fryderyk Wielki, nazywając rzecz po imieniu, ukradł Polsce Pomorze, ale sam nie mógł nie przyznać, że jego mieszkańcy „przeważnie są narodowości polskiej” (*ipsissima verba* tego Wielkiego Łotra). I prawdą jest, że dzięki protestom Wybickiego i walkom konfederatów, Polska nie dała wyrwać sobie Pomorza „bez drgnienia oporu“, jak prawdą jest (wbrew kłamstwom historyków niemieckich), że Pomorze wzięło czynny udział w „pierwszych polskich wysiłkach wyzwoleńczych“, co więcej, że „jednym z najbardziej decydujących i zwrotnych momentów w dziejach insurekcji kościuszkowskiej to był ruch na Pomorzu w roku 1794“, i że to powstanie, „a przedewszystkiem zajęcie Bydgoszczy, uratowało Warszawę i sprawiło, że król pruski, który ją oblegał, musiał się haniebnie z pod okopów polskiej stolicy wycofać i pędzić ku Prusom Zachodnim“.

I prawdą jest, że w roku 1846, w roku rzezi galicyjskiej, najpierwszy poryw powstańczy ziem polskich wybuchł na Pomorzu, że w dwa lata później Pomorzanie usunęli się od wyborów do parlamentu frankfurckiego na znak, że nie należą do Rzeszy niemieckiej.

I prawdą jest jeszcze, że, już za naszych czasów — podczas wielkiej wojny, w roku 1915, kiedy wojska niemieckie szukały miedzi na działa, Kaszubi w Sierakowicach nie dali sobie odebrać dzwonów kościelnych: zagrzebali je w ziemi, a odgrzebali dopiero po wojnie i zawiesili triumfalnie w kościele.

I prawdą jest wreszcie, że, kiedy pod koniec roku 1918, wybuchło powstanie w Poznańskiem, wzięli w niem udział i Kaszubi, zajmując wrogą postawę wobec wojska pruskiego, i że na początku stycznia r. 1919 Puck i Czersk zbuntowały się przeciwko władzom pruskim, a w Kościerzynie rozbrojono żołnierzy niemieckich.

Oto kilka ogniw z łańcucha prawdy dziejowej walki o Pomorze, prawdy, której nie zadają kłamu różne odchylenia od głównej linji jej rozwoju historycznego, jak to np., czego bynajmniej nie ukrywa Sobieski, że się Prusy Królewskie stanowczo opierały zjednoczeniu z Polską w XVI wieku.

Tę zaś prawdę wyłożył autor tak, jak z dzisiejszych naszych historyków on jeden tylko potrafi, to znaczy z bardzo niepospolitym talentem pisarskim i ze świadomym artyzmem. W jego stylu niema nic wyszukanego; jest prostota, nic zawikłanego; jest jasność — zarówno w budowie poszczególnych zdań, jak w układzie całości; szczegóły opowieści tego lub owego zdarzenia historycznego nie zaciemniają jego jądra, jego głównej linji rozwojowej.

Nie dosyć na tem. Należy Sobieski do tej grupy bardzo u nas nielicznych historyków, którą Francuzi nazywają *école pittoresque,* a której praojcem jest Walter Scott: tym historykom nie wystarcza dać czytelnikowi pojęcie o wypadkach, — oni dają mu ich żywy obraz, ich wizję, którą sobie wytworzyli dzięki swej wyobraźni odtwórczej. U nas taką wyobraźnię miał do pewnego stopnia już Niemcewicz, później — w nierównie większym stopniu — Szajnocha, Kubala, Smolka, a dzisiaj — Sobieski: w jego dziełach, począwszy od „Nienawiści wyznaniowej tłumów za Zygmunta III“, przeszłość żyje; czytelnik nietylko ją przyjmuje, ale ją widzi. Więcej jeszcze: on ją odczuwa, sam ją przeżywa. Dlaczego? Bo odczuwa ją i przeżywa sam autor.

Tak, Sobieski jest nietylko znakomitym uczonym i utalentowanym pisarzem, posiadającym tak rzadki wśród uczonych, a płynący z wyobraźni odtwórczej dar plastycznego widzenia i plastycznego słowa, ale nadto — żywym człowiekiem, który w odtwarzanych przez wyobraźnię wypadkach bie-

rze udział całą swoją duszą, a więc i uczuciem. I to właśnie uczucie, to wczuwanie się w przeszłość jest główną tajemnicą żywości stylu Sobieskiego i tego uroku, jaki jego pisma historyczne wywierają na czytelników. A trzeba jeszcze dodać, że to uczucie jest zupełnie wolne od sentymentalizmu i że nie jest skażone żadną stronniczą namiętnością: patrjotyzm polski bije z nich mocno, ale nigdy i nigdzie nie krzywdzi prawdy historycznej, podobnie jak właściwy Sobieskiemu, przedziwny zmysł aktualności nigdy i nigdzie nie pociąga za sobą wystawania przeszłości w fałszywem świetle. Rzecz to tem godniejsza uznania, że pierwotną pobudką, która skłoniła Sobieskiego do podjęcia pracy nad „Walką o Pomorze", było nie co innego, tylko właśnie uczucie patrjotyczne i zmysł aktualności. Wycisnęła ta pobudka na książce silne piętno, ale nie sprawiła najmniejszej ujmy jej wartości naukowej. Oto dlaczego książka jest jednocześnie świetnem studjum naukowem i czynem narodowym.

Niejeden, kiedy ją przeczytał, pomyślał sobie: gdybyż to autor wydał swoje studjum w języku, zrozumiałym dla cudzoziemców — niech wiedzą, że prawo do Pomorza dała Polsce nietylko etnografja i geografja, ale także historja! Na szczęście życzenie to było także życzeniem autora: przed kilku miesiącami jego „Walka o Pomorze" ukazała się (nakładem Instytutu Bałtyckiego) w przekładzie niemieckim [2]).

Przekład nie jest dosłowny: poczynił w nim autor pewne drobne zmiany, a co ważniejsza, niektóre ważne uzupełnienia, będące wynikiem najnowszych studjów — bądź samego autora, bądź innych badaczów, starszych, jak Brückner i Kostrzewski, i młodszych, jak Bodniak, Jelonek, Kudasik, Lepszy, Piwarski, Pociecha; a ci młodsi — to uczniowie autora!

Pomijając różne drobne zmiany (w tytułach zarówno, jak w treści niektórych rozdziałów), warto zwrócić uwagę na jeden zupełnie nowy ustęp w opracowaniu niemieckiem — o strajku szkolnym dzieci kaszubskich w Swornegaciach w roku 1905. Wiadomości o tem zdarzeniu udzielił autorowi jeden z uczestników strajku (obecnie kupiec, zamieszkały w Chojnicach) — w liście, który na tem miejscu przytaczamy (za zezwoleniem Sobieskiego) w całości i w dosłownem brzmieniu:

„W porze jesiennej roku 1905 doszła nas wiadomość o żądaniu ludności polskiej, by w szkołach powszechnych uczono po polsku dzieci narodowości polskiej. Jako uczeń trzynastoletni szkoły w Swornegaciach, idąc razem z szeregiem innych dzieci do szkoły, napotkaliśmy osoby z wioski, które zawiadomiły nas o panującym już strajku szkolnym w różnych miejscowościach. Przypominam sobie z tych następujące osoby: Augustyna Szyszka i Jan Szyszka, którzy z wioski udawali się do pracy w polu. Z pośród obecnych dzieci natychmiast postanowiłem strajkować choćby sam jeden. Na skutek mej agitacji godził się mnie poprzeć współuczeń, Jan Masloch, obecnie urzędnik Dyrekcji P.K.P. w Gdańsku. Podczas pierwszej lekcji (z historji biblijnej) nauczyciel Rydzkowski stawiał mi pytania, na które nie dałem odpowiedzi. Dopiero na trzykrotne jego pytanie odpowiedziałem: „Ja chcę się po polsku uczyć". Na to nauczyciel, który zresztą znał język polski, wpadł w złość i wybił mnie mocno po twarzy i następnie wyrzucił za drzwi. Pozatem kazał mi wchodzić do klasy i pozdrawiać po niemiecku. Wchodząc, mówiłem po polsku: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus"! Na to znowu mnie wypoliczkował i kazał ponownie wchodzić do klasy. Gdy znowu pozdrowiłem po polsku, jak poprzednio, nauczyciel, jak przedtem, wyrzucał mnie i policzkował, każąc wchodzić. To powtórzyło się mniej więcej cztery - pięć razy. Gdy wtedy jeszcze pozdrawiałem po polsku, zaniechał tego postępowania i, jeszcze raz wybiwszy mnie, odesłał z klasy pierwszej do klasy trzeciej. Tu postąpiłem jak przedtem. Nauczyciel tejże klasy, pan Zutber, mnie wypoliczkował i po pięć razy także kazał wchodzić, żądając pozdrowienia po niemiecku. Gdy jednak zawsze uporczywie czyniłem to po polsku, wreszcie, po mocnem skatowaniu mnie, posadził na ostatniem miejscu w ławce. Następnie przez osiem dni powtarzało się to samo, i za każdym razem zostałem wypoliczkowany. Po ośmiu dniach nauczyciel przestał wprawdzie z karaniem, musiałem jednak przez sześć tygodni chodzić do klasy trzeciej, poczem nareszcie przekazano mnie znowu do klasy pierwszej. Na skutek strajku musiałem uczęszczać do szkoły do siedemnastego roku życia; jednak, na długie prośby ojca i wnioski kupca Tyborskiego w Przechlewie, u którego wstąpiłem w naukę, zostałem zwolniony ze szkoły po dziewięciomiesięcznem odroczeniu terminu zwolnienia. Nadmieniam, że do strajku przyłączyli się jeszcze: Franciszek Borzyszkowski, obecnie rolnik w powiecie starogardzkim, Jan Gaździewski z Drzewicza i, jako jedyna dziewczyna, Franciszka Drewek, obecnie w Banku Bydgoskim w Bydgoszczy. W czasie strajku przybył do szkoły inspektor szkolny Wolff z Brus, oraz niemal codzień przychodził żandarm Stange, żądając, pod karą różnych kar, natychmiastowego zaprzestania strajku. Wskutek surowych gróźb ze strony władz niemieckich, oraz z obawy przed zapowiedzianemi karami, strajk nie mógł być nadal utrzymany.—Chojnice, 12 stycznia 1929 roku".

Jedno jeszcze. Sobieski, gorący miłośnik poezji polskiej, lubi niekiedy, w trosce o piękno swoich studjów naukowych, wplatać w wykład cytaty z utworów poetyckich. Nie pominął ich (oczywiście w przekładzie) w opracowaniu niemieckiem „Walki o Pomorze", jest więc i tam piosenka, którą śpiewano w Polsce za Kazimierza Wielkiego:

Królu Kazimirze!
Nigdy nie żyj w mirze
Z Prusakami,
Aż odzyskasz Gdańsk!

Są nadto, na początku i na końcu książki, cytaty, których w tekście polskim niema, — z Szekspira:

Hamlet. Czyje to wojska, rotmistrzu?
Rotmistrz. Norweskie.
Hamlet. Gdzie one idą?
Rotmistrz. Ku granicom Polski...
Hamlet. Czy pochód
Ich ma na celu podbój całej Polski,
Lub pewnej części tylko?
Rotmistrz. Prawdę mówiąc
I bez dodatków, idziemy zagarnąć
Marny kęs ziemi, z którego, krom sławy,
Żaden nam inny nie przyjdzie pożytek.
Za parę mendli dukatów nie chciałbym
Wziąć go w dzierżawę, i pewnieby więcej
Nie przyniósł ani nam, ani Polakom,
Gdyby był w czynsz puszczony.
Hamlet. W takim razie
Polacy pewnie bronić go nie będą?
Rotmistrz. I owszem, myślą o tem...

Ten „marny kęs ziemi", którego Polacy bronili i wiecznie bronić będą, to Pomorze, mianowicie ujście Wisły. Gorzką pigułkę dał Sobieski Niemcom, przypominając im, że Szekspir, którego Niemcy, jak się sami chwalą, znają lepiej od Anglików, wiedział doskonale, do kogo należy Pomorze.

Kończy się zaś książka niemiecka przestrogą Szekspira, że niebezpieczna to sprawa kusić się o zdobycie ujścia Wisły:

Woul't weep? woul't fight?
woul't fast? woul't tear thyself?
Woul't drink Eisel? Cat a crocodil?

(„Chcesz płakać? chcesz się bić? chcesz pościć? chcesz sam siebie rozedrzeć? chcesz wypić Wisłę? zjeść krokodyla?").

Oto nowa gorzka pigułka dla Niemców. A jest takich przysmaków dużo, dużo więcej, — na każdej niemal stronicy książki Sobieskiego.

---

[2]) *„Der Kampf um die Ostsee von den ältesten Zeiten bis zur Gegenwart"* (Bydgoszcz, „Bibljoteka Polska"). *In Kommission: Buchhundlung Markert und Petters, Leipzig*, 1933).

Lecz nie przełknęli ich Niemcy, — oszczędził im tego rząd Hitlera: część nakładu, przesłaną przez Instytut Bałtycki do Lipska, skonfiskowano.

I jakżeby inaczej? Przecie „na złodzieju czapka gore"; przecie „prawda w oczy kole" i „kolką włazi w bok"! No i krokodyla zjeść trudno, raczej krokodyl zje!

W innych jednak krajach tej książki nie skonfiskowano, więc Francuzi, Anglicy, Włosi będą wiedzieli, co myśleć o rewizji granic polskich: i to jest ogromną zasługą Sobieskiego.

Niechże i w Polsce jego wspaniałe dzieło zrobi swoje — niech wbija w polskie głowy i serca słowa owej piosenki:

Królu Kazimirze!
Nigdy nie żyj w mirze
Z Prusakami,
Aż odzyskasz Gdańsk!

IGNACY CHRZANOWSKI

KARTKA Z DZIEJÓW ROSYJSKIEGO WYCHOWANIA PAŃSTWOWEGO W POLSCE

(Ciąg dalszy)

9. NOWE TAJNE PISMO UCZNIOWSKIE: „OGNISKO KOLEŻEŃSKIE"

TRZEBA było jednak dawną współpracę inaczej podtrzymać, gdy zbierać się było niepodobna. Założyliśmy więc po pewnym czasie pismo tajne uczniowskie p. t. „Ognisko Koleżeńskie" (w 1882/83), którego mi pozostało 6 numerów — pismo było samo pisane, cyklostylu, ani maszynowego pisma jeszcze nie znano. Warunki prenumeraty opiewały w nagłówku: „pod słowem honoru nikomu nie mówić, do klasy nie nosić, dłużej, jak dzień jeden numeru nie trzymać".

Artykuł wstępny: „Do Kolegów" w nr. 1 tak tłumaczy przyczynę, powodującą do wydawania pisma: Dla nikogo zapewne nie jest tajnem, jaka apatja, jaka senność umysłowa ogarnia powoli nas wszystkich. Jedni to tłumaczą wywieraną na nas presją władzy szkolnej, drudzy zaś widzą w tem reakcję po dawnych naszych koleżeńskich zebraniach. Nie przeczymy temu, lecz sądzimy, że jednak jest coś głębszego, co powodowało i powoduje ciągle, że nie umiemy się skutecznie oprzeć presji szkolnej i że ulegliśmy reakcyjnemu prądowi i dajemy mu się ciągle unosić. Tem „czemś", mniemamy, jest brak spójnika łączącego nas. Wielu z nas jest kolegami tylko imieniem, ale nie sercem. Wielu z nas idzie samopas, potworzyły się znowu koterje, koteryjki, żyjące tylko z sobą. Tę spójnię dawną, tę solidarność chcemy napowrót wytworzyć. A że nie istnieją koleżeńskie zebrania i istnieć w obecnym czasie nie mogą, które funkcję łączenia dawniej spełniały, mniemamy, że z równą korzyścią spełni może te zadanie pismo, poświęcone sprawom koleżeńskim. Będziemy więc poruszali wszystkie kwestje z życia uczniowskiego. Zawiązane stosunki z innemi gimnazjami dadzą nam możność pomieszczania wiadomości z różnych ognisk koleżeńskiego życia. Będziemy starali się umieszczać także sprawozdania i krytykę dzieł, mających społeczną ważność i tyczących się wielu palących kwestyj i t. d.

O charakterze i kierunku tego szkolnego pisemka lubelskiego z tych czasów mogą powiedzieć choćby same tytuły zamieszczonych tam artykułów, których tu kilka notujemy: W nr. 1: 1) „Do Kolegów" wstępny artykuł o potrzebie takiego pisma, 2) O solidarności koleżeńskiej, zwłaszcza pomocy wzajemnej w naukach i przy egzaminach, 3) Komisja do spraw języka polskiego (o przestrzeganiu obowiązku chodzenia na lekcje języka polskiego), 4) Korespondencja z progimnazjum w Zamościu, 5) Sprawozdanie z wydawnictwa „Wędrowca" p. t. Kosmografja, 6) Kronika bieżąca — o ogłoszonym przez pisemko to konkursie na napisanie rozprawki „O Konstytucji 3-go Maja". W nr. 2 były następujące artykuły: 1) Nasze grzechy I) Cynizm, 2) O lichwie żydowskiej, która trapi często uczniów gimnazjum i o konieczności założenia Kasy Kredytowej uczniowskiej, 3) My i oni — (o przyciągnięciu egoistów, nie żyjących koleżeńskiem życiem), 4) Jakim jest, a jakim powinien być korepetytor, 5) O prawdę (w sprawie Komisji do języka polskiego, m. i. kary cielesnej na kolegów, nie uczęszczających na lekcje polskie), 6) W sprawie nauki fizjologji, potrzeby poznania jej wymogów dla zdrowia, 7) List do Redakcji o potrzebie poruszania w piśmie tylko spraw koleżeńskich. W nr. 3 były następujące artykuły: 1) Szalona myśl (o potrzebie letnich kolonij dla uczniów, pochodzących z miast), 2) Projekt ustawy Kasy Wzajemnej Pomocy, 3) Nad przepaścią (wiersz, utwór jednego z kolegów), 4) Jakim jest korepetytor, a jakim być powinien (dokończenie), 5) Kronika bieżąca: Znowuż o konkursie na rozprawkę: „O Konstytucji 3-go Maja". O wystawie obrazu Gersona w Lublinie, 6) Dział humorystyczny: Najnowsze zdobycze nauki (Maszyny i narzędzia, nadesłane do mającej się utworzyć komisji do spraw języka polskiego z karą cielesną, z rysunkami tych maszyn). Nr. 4 zaginął. W nr. 5 były następujące artykuły: 1) Nasze grzechy: III) Egoizm (widocznie w nr. 4 był pod II jakiś inny grzech uczniowski), 2) Odpowiedź nadesłana na artykuł w nr. 4, w sprawie Działu humorystycznego, protestujący przeciw ośmieszaniu owej Komisji do spraw języka polskiego, 3) W sprawie Kasy Kredytowej, żądający przyśpieszenia jej utworzenia, 4) Kronika książek, gdzie pomieszczono spis 54 książek, które mogą być wypożyczone z tajnej bibljoteczki uczniowskiej. Nakoniec w nr. 6 były: 1) Co zrobić powinniśmy przez czas wakacyj (o należytem obcowaniu z ludem, wystrzeganiu się miłosnych awantur z dziewczętami, o należytej lekturze i t. d.), 2) Recenzja z powieści „Sapho" Daudet'a, 3) Mane-Tekel-Fares—pożegnanie przedwakacyjne pisma, przegląd poprzedniej pracy i nakoniec obawa, że pismo nasze upadnie z powodu braku spójni, stąd te wyrazy: Mane-Tekel-Fares, 4) Nadesłane — dalsza polemika w sprawie Działu humorystycznego i Komisji do spraw języka polskiego, 4) Kronika bieżąca: jeszcze o konkursie. To był ostatni numer, wydany przed wakacjami, w czerwcu 1884 r. Po wakacjach w 1884, nie pamiętam, czy pismo pojawiło się, zdaje się, że oba-

wy, iż nie będzie wychodzić, spełniły się, może nie tyle z braku spójni, którą pesymistyczny kolega przepowiadał, ile że to była już 8-ma klasa, rok matury, do której musieliśmy się specjalnie mocno przygotować, gdyż Siengalewicz wciąż zapowiadał, że zaledwie pewną część dopuści do egzaminu. Z powyżej przytoczonych cytat i tytułów artykułów pisemka przebija raczej nastrój moralno-obyczajowy, aniżeli polityczny, czy społeczny: chciano wpłynąć najpierw na wytworzenie i utrzymanie solidarności koleżeńskiej, wciąż przez system terroru szkolnego nadwyrężanej i łamanej, uważając ją za najważniejszą sprawę, jak również chcąc wpłynąć hamująco na wkradający się coraz bardziej cynizm obyczajowy i sobkostwo (egoizm), pamiętające tylko o sobie, do czego konsekwentnie zmierzał cały system szkolny. Zaznaczyć należy, że, o ile pamiętam, tendencyj radykalnych lub socjalistycznych młodzież nasza wówczas nie objawiała; ponieważ powiew tych idej szedł od wschodu, był z pochodzenia rosyjski, już to samo od nich odstręczało i nie porywało. Pamiętam, że przywiezione i oddane nam z rozwiązanej bibljoteki rówieńskiej (o czem było wyżej) przeważnie rosyjskie, radykalne wydawnictwa, chętnie, jako zakazane, były czytane, ale nie pociągały nas nadmiernie. Pracę dla ludu uznawaliśmy za obowiązek zwyczajny, to też w programie wakacyjnym mieliśmy ją na oku, ale pojmowaliśmy ją jako szerzenie oświaty narodowej, nie zaś jako robotę radykalną, agitacyjną.

Nie poruszaliśmy w pisemku spraw politycznych polskich, nie dlatego, żebyśmy ich nie odczuwali, tylko baliśmy się o tem pisać ze względu na odpowiedzialność przez to znacznie zaostrzoną— tak jeszcze terror działał, ale, oczywiście, ówczesny ucisk kraju był tematem stałym wszystkich naszych dyskusyj.

Uderzające jest, że nie pisaliśmy nic w tem pisemku o stosunku naszym do kolegów Rosjan i żydów. Gdy sięgam pamięcią w te czasy, to przypominam sobie, że do kolegów-Rosjan stosunek nasz był nikły, raczej bierny, nie żyliśmy wcale z nimi, bojąc się w nich szpiegów, byli to synowie urzędników wyższych, nastawieni nieprzyjaźnie do Polski. Tylko z kilkoma z nich, którzy sami do nas zbliżyć się, mimo naszej niechęci, chcieli, niektórzy z naszych utrzymywali pewne stosunki, takim był synowiec gubernatora Stamierow (później spotkałem się z nim po 10-ciu latach na studjach w Lipsku, gdzie już wyraźnie przedstawiał się, jako liberał), Korneliuk, syn ubogiego djaka, Tatarow, syn popa—ten był najsympatyczniejszy, oraz Andrian, syn kapitana żandarmerji, który zyskał odrazu nasze zaufanie przez to, że ojciec jego, ów kapitan, z powodu donosów Siengalewicza na ojca i syna do Ochrany, spoliczkował Siengalewicza. Była raz przelotna rozmowa poufniejsza z synem Naczelnika Dyrekcji Naukowej w Lublinie, Rublewskim, który kiedyś, rozpocząwszy ze mną rozmowę o stosunkach politycznych, nagle wyrzucił z siebie zwrot: „czy myślicie, że nam jest lżej, niż wam“, co wskazywałoby na jakieś odczuwanie tego ucisku politycznego i co do siebie. Ale to były sporadyczne wypadki — pozatem żadnych prawie stosunków koleżeńskich nie było, coś mroziło nas do nich. Dopiero przed samą maturą, gdy chodziło o wspólne losy i zmagania się ciężkie na egzaminach, sami Rosjanie prosili nas o współdziałanie i pomoc przy egzaminach pisemnych, bardzo trudnych i specjalnie surowo przez Siengalewicza strzeżonych — i tośmy im przyrzekli i zrobili. Co do żydów, przyznać trzeba, że specjalnego antysemityzmu nie było: nie odczuwaliśmy do nich wstrętu, ale też specjalnych objawów jednania się i współżycia nie było, już wtedy zaczynał się u nich specjalny ruch, jakby syjonistyczny, takimi byli bracia Weissbergowie, szczególniej Franciszek i Markus— poza tem dobrzy koledzy, Rosenthal, Rosenmann i inni żydzi raczej wchodzili w pewną, ale bojaźliwą asymilację. Tego żywiołowego ruchu antyżydowskiego, jaki się teraz wśród młodzieży naszej objawia, nie było, ale już prenumerowaliśmy (wielu z nas), nowopowstałą wtenczas „Rolę“ — Jeleńskiego, czytaliśmy chętnie wówczas „Neofitów polskich“ Teodora Jeske-Choińskiego — ta książka z onych czasów utkwiła mi w pamięci. Był więc ten ruch młodzieży przedewszystkiem odporny wobec rusyfikacji, wrogi naciskowi owego „wychowania państwowego“, moralno-obyczajowy, nieco wolnomyślny,—(„Prawda“ Świętochowskiego i „Przegląd Tygodniowy“ Wiślickiego były chętnie prenumerowane i czytane), — trochę o zabarwieniu ludowem w duchu „Głosu“, ale przedewszystkiem wrogo nastawiony do wszelkiej rosyjskości i do wszystkiego, co ze wschodu idzie. Naprzykład, bojkotowaliśmy koncert jakiejś trupy śpiewackiej rosyjskiej, dlatego że rosyjska, wbrew pewnej, ale małej grupce (t. zw. „ugodowców“), która w imię kultury i sztuki „wolnej od nacjonalizmu“ — namawiała do pójścia. Tak nam gruntownie Siengalewicz obrzydził rosyjską kulturę i sztukę.

(Dok. nast.) STEFAN SURZYCKI

O WOLNOŚCI POLSKIEJ

Wieleć my mamy swobód w tej polskiej Koronie,
Cóż, gdy się nie staramy i nie dbamy o nie.
Przeważają prywatnych pożytków chciwości,
Bardziej dbamy o włości aniż o wolności.
Słobody niż swobody głowę nam mozolą,
Niż złotą wolność, bardziej samo złoto wolą.

WESPAZJAN KOCHOWSKI

NA WIDOWNI

Dawna literatura polska. — Czemu tak niewiele z nią obcujemy. — Wina systemu szkolnego. — Staropolska poezja religijna. — Rocznica Kochowskiego. — Pochwała cywilizacji rolniczej. — Blask o zachodzie.

ŻYCIE jest krótkie. Na zapoznanie się z dorobkiem literackim własnego narodu i ludzkości dane jest człowiekowi zaledwie lat kilkadziesiąt. Zgóry też dokonać należy pewnego wyboru lektury, zdecydować się, że na sięgnięcie do niektórych autorów i dzieł — w tej niedługiej wędrówce ziemskiej — poprostu nie ma się czasu. Ja, naprzykład, nie czytam zupełnie powieści Kadena Bandrowskiego.

Z upodobaniem, coraz żywszem i serdeczniejszem, zagłębiam się natomiast w piśmiennictwo staropolskie, szesnasto i siedemnastowieczne. Jest zastanawiające, jak dalece społeczeństwo nasze, nawet w swojej warstwie oświeconej, nie jest spoufalone z literaturą rodzimą tamtych epok: gdy np. w Anglji lub we Francji dzieła pisarzów z owych czasów, w wielu wypadkach, są teraz jeszcze codzienną, ulubioną strawą duchową ogółu, u nas utwory ich rówieśników traktuje się niby osobliwości antykwarskie, mogące conajwyżej wzbudzić zaciekawienie u nielicznej tylko gromadki specjalistów i miłośników.

Zapewne, wiele przyczynił się do tego stanu rzeczy upadek dawnej Rzeczypospolitej: gruz walącego się państwa w znacznej mierze przysypał minione formy bytu, pojęcia, obyczaje. Z konieczności przeszłość z przed lat dwustu czy trzystu jest w świadomości naszej bardziej obca, odległa, mniej zrozumiała, niż u narodów, których ciągłość bytu państwowego nie uległa zerwaniu, gdzie całe mnóstwo tradycyjnych instytucyj, zwyczajów, poglądów trwa albo rozwija się stopniowo, dzięki czemu także twórczość pokoleń poprzednich bliższa jest i dla wyobraźni dzisiejszej dostępniejsza. Z trudem nawiązujemy łączność duchową z dziedzictwem Polski przedrozbiorowej, przezwyciężając chorobliwe następstwa niewoli.

Odpowiedzialność ponosi również nasz system szkolny, gdzie tyle miejsca wypełnia nauka „o Polsce współczesnej", do aktualnych widoków dostosowana, że już naogół nie starcza sposobności i zapału, by choć cokolwiek zapoznać ucznia z... Polską wieczną. Przeciętny wychowanek gimnazjum opuszcza je tak mało zżyty, tak nieobyty zupełnie ze staropolszczyzną, że nie potrafi często zrozumieć dawnych tekstów, nie pojmuje należycie sensu wyrazów, co w ciągu wieków zmieniły swoją barwę uczuciową i znaczenie, tak że, czytając je, raz po raz odnosić musi wrażenie niejasności, nawet groteski. Piśmiennictwo polskie czasów minionych pozostaje dla niego księgą zamkniętą. Znamienna rzecz: tak powszechnie uznaje się potrzebę przyswojenia uczniowi języków obcych, by mógł prowadzić np. korespodencję handlową z zagranicą, a tak niewiele przywiązuje się znaczenia do tego, by poznał mowę, którą z za grobu zwracają się doń właśni ojcowie, by bez pomyłek umiał odczytać pozostawiony przez nich testament!

Zdaje się zaś, że jeden szczególnie dział literatury staropolskiej może przemówić do pokoleń Polski odrodzonej, odpowiedzieć potrzebie czasów, które nadchodzą, mianowicie poezja religijna. Maniera prymitywu ludowego, tak pospolita dzisiaj w utworach religijnych Iłłakowiczówny, Zegadłowicza, Gałuszki, jest, bodajże, uproszczeniem z konieczności: „naiwność" ujęcia pozwala nie zagłębiać się w mało zbadane gąszcze nauki katolickiej, uwalnia poetów od ponoszenia trudu intelektualnego w tym zakresie. Lecz generacyj nowych, które w stosunek swój do zagadnień religijnych wkładają niemałą pracę myśli, które chociażby kwestja etyki chrześcijańskiej i nacjonalizmu zmusza do rzetelnego wysiłku umysłowego w tej dziedzinie, tych generacyj nie zadowoli stylizowana „kolędziołka"... Odczują one i zrozumieją, jak wiele piękna i treści może udzielić poezji rzeczywista znajomość doktryny prawowiernej, rozmiłują się w tych odpowiedzialnych, na głębokiej wiedzy teologicznej opartych, poważnych strofach, jakiemi o sprawach wiary mówią do czytelnika: Szarzyński, Sarbiewski, Kochowski...

Kochowski... Z natury rzeczy myśl zwraca się ku temu poecie, którego w roku bieżącym przypada trzechsetna rocznica urodzin, który brał udział w wyprawie wiedeńskiej Jana III, a triumf ówczesny wyraził w swej „Psalmodji polskiej" z takim majestatem i prostotą, że nikt późniejszy, powracający do tego tematu, nie potrafił choćby częściowo mu dorównać:

„Patrzało na hardość ich wschodzące słońce; a toż na odwieczerzu widziało sromotnie rozgromionych...

Leżeli w polu, jako bycy tłuści po rzezi; a plugawe ścierwy kazał zwycięzca ziemią nakryć, z politowania.

Jeńcy w zatrzymaniu żywi zostali; a miecz po zwycięstwie ochłodnął w pochwy włożony...

Prawica twoja Panie, za nas wojowała; ręka twoja, Najwyższy, nieprzyjaciół zbiła; a w mocy twojej, o Wszechmocny! poraziłeś przeciwniki nasze..."

Nie był, pewnie, Kochowski intelektem potężnym, nie zawsze odznaczał się trafnością sądów politycznych, skoro w r. 1666 zawędrował do obozu Jerzego Lubomirskiego pod Mątwami; jego poglądy „na rewolucyje państw w klimakterykach" mało cenne są jako próba historycznej syntezy. W każdym razie jednak, piewca żywota ziemiańskiego umiał w pięknym wierszu hołd złożyć „Matce mądrości, przesławnej Akademji Krakowskiej", która „*mathesim* śle w niebo na śpiegi", która „wypielęgnowała króle", wydała, jak wymienia ze czcią: Hozjuszów, Janów Kantych, „wojenniki i hetmany"... To pewne, że nie skasowałby „ze względów oszczędnościowych" katedr na Jagiellońskiej wszechnicy...

Co wszakże najsilniej wzrusza w poezji Kochowskiego, to wizerunek owej cywilizacji rolniczej, owej Polski dawnej, słonecznej, gdzie żona nosi potocznie nazwę „przyjaciel", gdzie „jawor hebanu droższy"...

„Cóż mi po więcej? Na czemże mi schodzi?
Gdy mi ojczysty szmat bujno zarodzi,
Pożywi czeladź, wtąż wystarczy i mnie
Dobry przyjaciel pożywi się przy mnie...
„Niwo ma, niwo! Skibo ziemie plennej!
Ty coraz wieniec żytny, także pszenny,
Spokojnie na mej gdy położysz głowie,
Za fraszkę wasze korony, królowie!

A głęboka mądrość dźwięczy w słowach „Psalmodji", gdy dziękując Bogu, iż udzielił mu „kawałek ziemie", iż „ma za dosyć i z domowymi na czczo spać nie idzie", rozważa Kochowski:

„Inszym Meksyk, zasuty złotem i jedwabnorodne niech będą perskich towarów intraty; ja się według udzielenia Twego kontentuję krwawą rodziców pracą...

Zwydrzałbym był bowiem większemi dostatkami obłożony, i jako szkapa zbytnim wytuczony obrokiem, wierzgałbym przeciw Zakonowi...

Zaczem dzieło Opatrzności Twojej wyznaję, żeś w terminach mierności mając mię, jakoś nie chciał, abym w ostatniem ubóstwie rozpaczał, tak i w zbytnich nie brykał dostatkach".

Bliższa nam dziś, niż przed niedawnym jeszcze czasem, jest owa pochwała „terminów mierności", jakże przeciwna całej cywilizacji kapitalistycznej ostatnich lat stu kilkudziesieciu i jej hasłom: „bogacenia się", nieustannej, żadnym kresem nie ograniczonej — dążności do zysku!

W twórczości Kochowskiego raz jeszcze ukazuje się piękno starej Polski, nie w czas południa, jak stojących w skwarze promiennym lip czarnoleskich, lecz w czas zachodu, ozłoconej na pożegnanie, niby krwawą tarczą gasnącego słońca, blaskiem wiedeńskiej glorji.

Czem było piękno tej cywilizacji, może łatwiej będzie zrozumieć, kiedy się wspomni, że w sto pięćdziesiąt lat potem, gdy noc zapadła, jeden promyk ostatni nad dworem w Soplicowie wystarczył Mickiewiczowi, by rozszczepić go na tęczę przeogromną, zwiastującą, iż nadejdzie koniec dni Pańskiego Gniewu.

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

PIERWSZA TRANSZA... Wyrażenie to, tak popularne, znalazło się przecież w polskim słowniku politycznym od niedawna. Obecnie dotyczy profesorów. Podobno byli tący, co przypuszczali, że znakomici uczeni, jak np. prof. Kot, Taylor, Tarnawski, Żółtowski znajdą się w „pierwszej transzy" zwolnionych. Wyznajemy szczerze, żeśmy do tych przewidujących nie należeli. Wydawało się niewiarygodne, żeby udzielona ministrowi kompetencja znoszenia katedr spowodować mogła odrazu — zniesienie szeregu niezbędnych na nowoczesnym uniwersytecie katedr i usunięcie szeregu profesorów—krytyków *régime*'u, bez względu na ich imię w nauce. Tak np. w Krakowie zniesiona ma być katedra socjologji, we Lwowie katedra anglistyki. Zmysł estetyczny dotkliwie cierpi na tem, że cała ta reforma nazywa się „zwijaniem katedr ze względów oszczędności." Że też po siedmiu latach nie stać naszego *régime*'u na bardziej prostolinijne oświadczenia. O ileż niżej stoimy pod tym względem od Niemiec. Tam poczynania, działania, programy polityczne, ideowe, nieraz nawet w intencji religijne — u nas swoiste „oszczędności". Żyjemy coraz oszczędniej... tylko coraz trudniej „kapitalizować" nam szacunek dla siebie samych.

POSTAWMY SIĘ NA CHWILĘ w położeniu entuzjastów dzisiejszego rządu „silnej ręki". Bezwątpienia urazić ich trochę musiały rozlepione na murach odezwy „Komitetu Obywatelskiego Pożyczki Narodowej". Nie ze względu na treść — kwestja pożyczki w danym razie jest poza sporami partyjnemi, tak jak bezsporny zupełnie jest obowiązek płacenia podatków. Ale co sobie musiał myśleć „państwowiec", przeczytawszy odezwę o pożyczce „narodowej"? Czy nie widział w tem niepotrzebnego zupełnie schlebiania niższym uczuciom i instynktom? Czyżby potrzeba państwowa wywołała u *régime*'u chwilę przelotnej słabości? Myśl niezmiernie przykra dla prawdziwego zwolennika silnej władzy. Właśnie w momentach trudnych niewolno jest okazać słabości. Takie sformułowanie, jakie czytamy na odezwach, wywołać mogło wrażenie, że rządowi zależy na poparciu społeczeństwa. Strach pomyśleć, dokąd zaprowadziłaby nas doktryna, wysnuta z tej frazeologji. Rząd, któryby się opierał na poparciu społeczeństwa... toż przestałby wogóle istnieć z chwilą, kiedyby poparcie to stracił. Cóż to wspólnego mieć może z rzeczywistością polską? Nie można suggerować nawet przelotnie doktryny tak niebezpiecznej. Pozatem... najgorętszy nawet „narodowiec" nie zaprzeczy, że pożyczka jest bezwarunkowo tranzakcją finansową p a ń s t w a. „Pożyczka państwowa"—te słowa z najsurowszą dokładnością malowałyby istotny stan rzeczy. Nie, doprawdy, terminologja odezwy musiała zaniepokoić myślących państwowo ludzi.

I. MIĘDZYNARODOWA WYSTAWA DRZEWORYTÓW zwabiła w dniu otwarcia sporo publiczności do IPS-u. Początek sezonu jesiennego jest zawsze atrakcją. Wernisaże słusznie uchodzą przytem za rewje mody, w równym stopniu jak za rewje sztuki. Dlatego, być może, u niektórych (i to dość licznych) gości raziło pewne zaniedbanie garderoby. Mimo dość uroczystej okazji zapomnieli wyszyć sobie na marynarkach łaty żółte. Ta *insouciance*, bynajmniej nie artystyczna, zepsuła trochę nastrój wernisażowy. Sama wystawa z wielu względów była interesująca. Dział polski przygniatał inne i ilością eksponatów i jakością. Jak często na wystawie „międzynarodowej", mieliśmy w gruncie rzeczy do czynienia z pokazem nacjonalizmu. Honor Europy ratowała jeszcze trochę Ukraina, trochę Estonja... ale jak mizernie przedstawiły się Włochy, jak słabo Wielka Brytanja! Trudno mieć o to pretensję do organizatorów wystawy, że mało zgromadzili reprezentatywnych utworów z zagranicy, niełatwo bowiem o nie. Ale trudno zrozumieć recenzenta artystycznego „Gazety Polskiej", kiedy pisze, iż „wystawa w IPS-ie w najściślejszem tego słowa znaczenia odźwierciedla nam współczesny poziom drzeworytu, albowiem... regulamin wystawy dopuszcza tylko prace, wykonane w ostatnich trzech latach". Niestety, cała „ścisłość" tego wywodu nie zmienia faktu, że w wielu wypadkach raprezentują zagranicą prace przypadkowo dobrane i nie dające pojęcia o twórczości danego kraju. Złudzenie optyczne natomiast wytwarza się przez napisy: „Francja", „Wielka Brytanja", „Stany Zjednoczone", „Japonja" i t. d. Niezmiernie to typowe dla wszystkich prawie imprez „międzynarodowych", że dają fałszywe pojęcie o narodach. Dlatego tak potrzebna jest korekta zdrowego nacjonalizmu—którego i dziś jeszcze za mało jest na świecie. Któż mógł powziąć wyobrażenie o prawdziwym charakterze narodów, słuchając pacyfistycznych deklaracyj japońskich, niemieckich i angielskich w Genewie, na największem *forum* międzynarodowem? I czy nie wytwarzał podobnych iluzyj także jakiś skromny zjazd *International Student Service,* na którym jako „Francja" występował delegat Ymki z Francji, jako „Japonja" — delegat Ymki z Japonji? Odbiegamy nieco w tych refleksjach od międzynarodowej wystawy drzeworytów. Ale zawsze jest to naturalną tendencją nacjonalizmu, żeby narody znały się jaknajlepiej i nie widziały się nawzajem w przypadkowej czy umyślnej karykaturze.

JAK WYGLĄDAŁ SKARB ZA SOBIESKIEGO

PRZECHOWAŁY się w archiwum państwowem Skarbu Rzplitej sprawozdania finansowe, składanie dawnym sejmom do zatwierdzenia. Między niemi można oglądać w skórę oprawny *volumen*, zawierający 21 kart, zapisanych z dużym nakładem pracy kaligraficznej, a nagłówek tekstu brzmi:

„Rachunki generalne Seymowe Naiaśnieiszemu Królowi Jemci Janowi III y wszystkim Stanom Rzeczypospolitey na Seym Walny Warszawski *pro die 14 Januar*y w Roku 1677 złożony zgromadzonym od Skarbu Rzplitej Koronnego podane, a to za urzędu Podskarbstwa Jas. Wielmożnego Imci Pana Jana Andrzeia z Raciborska Morstina Podskarbiego-Wielkiego Koronnego, Tucholskiego etc. Starosty, które zaczynaią się od ostatnich Rachunków na Seym Walny *Coronationis* w Krakowie *pro die 4 Februar*y w Roku 1676 złożony, wystawionych y napisanych".

Rachunki te rozpadają się na dwie części: 1) *Percepta* generalna i 2) *Distributa*. Zanim przejdziemy do szczegółów, zajrzyjmy do podsumowań. Otóż w okresie sprawozdawczym 1676/1677 dochody wyniosły 748,269 złp., wydatki zaś 748.290 złp.

Uprzytomnijmy sobie, że r. 1676 był ciężkim rokiem wojny tureckiej. Coprawda Jan III pod Żórawnem wojska miał mało (niewiele ono kosztowało); szlachta nie dawała ani wojska ani podatków. Na sejmie koronacyjnym (luty 1675) Sobieski łamał obstrukcję posłów litewskich osobiście, siedząc w izbie dwa dni, póki podatków nie uchwalą. Trudno nam dzisiaj zrozumieć, patrząc w te rachunki, jakim cudem tak wielkie państwo istniało. Oczywiście inne były wówczas zasady budżetowania skarbowego, w każdym razie zadziwiać musi rachunek roczny, wynoszący 63,000 dukatów, nie większy pewno od wydatku rocznego niejednego magnata.

Szlachta, podburzana przez obcych przeciwko królowi, przekupna i rozpróżniaczona, zwaliła na głowę króla wszystkie odpowiedzialności. Sam musiał być wodzem i skarbnikiem.

Sekretarz króla Brunetti w liście do ks. Toskańskiego z września 1676 r. pisał: „Niema dziś przy Królu Imci ni Podskarbiego, ni Kanclerza, ni Hetmana. Ichmościowie ci, mniej dbali o dobro kraju, nie pełnią obowiązków swoich, wszystkie na króla zwalając. Z tej to okoliczności wczoraj w wieczór, rozpisawszy wszystkie listy do Porty Ottomańskiej, do W. Kniazia Moskiowskiego i do Hana Tatarów, rzekł do mnie śmiejąc się: Otóż ci panowie, którzy na Sejmie koronacyjnym przez posłów zwolenników swoich nalegali na mnie, bym nie innym, jak im tylko pierwsze w Królestwie oddał dostojeństwa, dziś mnie zostawiają samego. Muszę z własnej kieszeni płacić żołnierza, myśleć o opatrzeniu onego, pisać i odpisywać na listy, słowem być wszystkiem"... Było to w Żółkwi przed wyruszeniem na pole walki w obronie Lwowa, przed nieszczęsnem oblężeniem w Żórawnie, gdzie miał przy sobie tylko 12.000 wojska, a nieprzyjaciel silniejszy był w czwórnasób.

Wracajmy do rachunków. Percepta generalna składała się „tak z retent podatków Rzpltej na Sejmach przeszłych uchwalonych, tudziesz ordinareynych y extra ordinareynych Rzpltej prowentów". A mianowicie (grosze i dynary odrzucam):

Z retent podymnych nr. 24 w r. 1667 uchwalonych — złp. 602, z podatków w r. 1670 uchwalonych — 1166, z pogłównego uchw. 1673 r. — 817, z akcyzy uchw. 1673 r. — 257, retent szelążnego — 1.684, retent pogłównego uchw. 1674 r. rata kwietniowa—4.882, rata paźdz.—10.379 złp.

W dochodach nadzwyczajnych. Od Ojca św. Klemensa X 6.500 czerw. zł., po potrąceniu $^1/_3$ na W. Ks. Litewskie, kosztów przesyłki i po zmianie według kursu 1 zł. czerw. = 12 złp. — 51.480, ze skarbu Króla z sumy ubezpieczonej na klejnotach—55.000, za nobilitację — 70.000, z *quarty* starej, nowej y *quadruple* — 246.879, z ceł Rzpltej wielkop. i ruskich — 76.500, z dzierżaw ceł — 37.500, *Donativum* kupieckie przy cłach — 76,500, z dzierżaw i składów wina — 62.000, z pogłównego żydowskiego („Niewierni żydzi")—57.500.

A jakież były wydatki?

Zwrócono Podskarbiemu (Morstinowi) ze 134.662 złp., które w r. 1676 z własnej kieszeni założył (60.000 złp. darował skarbowi), złp. 74.662. Dalej „ludziom Rzpltej *in Praesidiis ordinariis et extraord.* zostającym", skarb zapłacił na oprowiantowanie fortec ukraińskich 100,000 złp., piechocie w Zamku Krakowskim 11.595, piechocie w Lubowli 23.018, na artylerję koronną 177.282; na jurgielty i pensje wojskowe 27.860 (w tem na buławę wielką Dymitrowi Wiśniowieckiemu 13.800, na buławę małą Stan. Jabłonowskiemu 8.800, Stefanowi Czarnieckiemu pisarzowi poln. 1.140). Ogółem tedy na wojsko wydano wtedy około 340.000, a więc niemal połowę dochodu.

Ciekawe są liczby, dotyczące kosztów dyplomacji:

Posłom, do różnych państw „*in negotiis publicis*" wysłanym, wypłacono 50.760. Jeżeli się zważy przepych, z jakim posłowie nasi występowali w obcych krajach, suma to znikoma. A wysyłano w tym r. 1676 na poselstwa i komisarzy w Turcji: Wł. Skoroszewskiego do Kurf. Brandeburskiego, Konst. Tomickiego do Moskwy, Stan. Kowalewskiemu i innym komisarzom w Turcji zapłacono około 30.000 złp., wysłano pp. Myśliszewskiego i Kaczorowskiego na Krym, Karwowskiego do hospodara Multańskiego, Kaz. Gizę do Siedmiogrodu.

Więcej kosztowali obcy posłowie i gońcy. Na odprawę i prowizję posła szacha perskiego wydano 45.000 złp., na prowizję posłów z Moskwy: rezydenta Tiapkina, gońca Oleksiejowicza, Tymophiowicza, Wozniczyny około 11.000. Delegacje kozaków zaporoskich pociągały za sobą wydatki nie tylko na „prowizję", ale i na odzienie, razem około 34.000 złp. Następują posłowie wołoscy, multańscy, siedmiogrodzcy. Ogółem kosztowali posłowie obcy 90.573 złp.

Z pośród innych ekspensów zanotuję, że królowi zwrócono resztę prowizji Nowodworskiej za r 1675 — złp. 10.000, „Temusz Królowi Imci *a die 1 July ad ultima Marty* 1677 — 15.000", wreszcie Królowi dano „na *expensa* publiczne w przeszłej Campaniey Czerwonych złotych *in specie* 4.000, które po złp. 12 redukowane *efficiunt* 48.000 złp.".

Resztę rozdano tytułem traktamentu i zwrotu różnym osobom według uchwał sejmu. Między innemi: p. „Zairskiemu, tłumaczowi języków Orientalskich za prace około prowadzenia posła perskiego do granic X-twa Litewskiego podjęto 1900 złp.". Urzędnicy skarbowi dostali za pracę ogółem 7.176 złp.

Rachunki powyższe sprawdzał biskup poznański Stefan Wierzbowski. Jego podpis widnieje pod

każdym działem z osobna i na końcu on pierwszy jest podpisany. Obok niego rachunki ogólnie akceptował podpisem Andrzej Maximilian Fredro, wojewoda podolski. Poza tym znakomitym autografem czytamy podpisy: And. Kotowicz K. W., Andrzej ze Skrzynna Dunin Karwicki sędzia grodzki krakowski, Iwanicky Marcian cześnik i poseł, Wacław Zaleski, Kazimierz Zawadzki starosta, deputat woj. Malborskiego.

Dwa nazwiska, z dokumentem powyższym związane, uderzają wyobraźnię historyka literatury, mianowicie podskarbiego Morstina i Andrzeja Maks. Fredry. Obaj doskonali wyraziciele epoki: Fredro jako publicysta i myśliciel, Morstin jako poeta — obskurantyzmu i baroku, kultu złotej wolności szlachty i zepsutego smaku.

Ow podskarbi, poeta zresztą utalentowany, Jan Andrzej Morstin dał wyraz najdobitniejszy ówczesnemu upadkowi myśli politycznej i etyki — swojem postępowaniem. Jak widzieliśmy z powyższych rachunków, ofiarował hojnie Rzpltej 60.000 złp. Ale pokazało się rychło, że nie był bezinteresowny. Sprzedawał tajemnice dworskie i dyplomatyczne rządowi francuskiemu. W r. 1680 przyłapano listy jego szyfrowane i udowodniono mu zdradę. Napiętnowano go publicznie jako „infamisa i zdrajcę".

Emigrował z Polski 1683 r. do Francji, gdzie nabył znaczny majątek pod Paryżem i tytuł sekretarza króla (Ludwika XIV). Syn jego, już Francuz, zwał się margrabią de Châteauvilain.

Wydanie zbiorowe poezji Morstina wyszło dopiero w r. 1883 w Warszawie. Na scenie wystawiają jego przekładu „Cyda" Corneille'a.

W.

NAUKA I LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

W dwuchsetną rocznicę odsieczy wiedeńskiej pan Jerzy Odrowąż Pieniążek wydał bardzo interesującą książkę p. t. „Rycerstwo Polskie w wyprawie wiedeńskiej r. 1683." Dał w owej książce możliwie najkompletniejszy, jaki się udało zostawić na podstawie znanych dotychczas źródeł historycznych, spis imienny uczestników owej wyprawy. Spis poprzedzony jest przedmową wydawców oraz słowem wstępnem profesora Oskara Haleckiego-Chaleckiego.

Książka, napisana w krótkim stosunkowo czasie, nie rości sobie pretensji do wymienienia wszystkich uczestników wyprawy. Pomija tych, o których milczą źródła historyczne, odkryte do tej pory. W każdym jednak razie podaje paręset nazwisk osób, których udział w wyprawie dał się dokumentalnie stwierdzić. Być może, iż z poszukiwań archiwalnych da się w przyszłości ustalić spis kompletniejszy. Rachunki sejmowe, Metryka Koronna i zasoby korespondencji współczesnej Sobieskiemu czekają jeszcze na naukowe zbadanie. W każdym razie jednak spis pana Jerzego Pieniążka jest z istniejących dotychczas najpełniejszy, o wiele pełniejszy od wydanego w roku 1883.

Pan Pieniążek mógł w pracy swojej oprzeć się na pomnikowem wydawnictwie „Aktów Historycznych" Fr. Kluczyckiego, wydawcy pierwszego spisu nie znanych. Posługiwał się ponadto źródłowemi herbarzami — przedewszystkiem herbarzem Bonieckiego, herbarzem „Rodzina", herbarzem szlachty polskiej Niesieckiego, Aktami Grodzkiemi i Ziemskiemi Przemyskiemi, Spisem szlachty polskiej Borkowskiego, „Notatkami" Karwosieckiego, „Pocztem Elektorów" Pietruskiego, Rocznikami Polskiego Towarzystwa Heraldycznego, „Spisem rycerstwa" księdza Kuklińskiego, Spisem Rycerstwa Polskiego, pracą Zernickiego Szeligi *„Der Polnische Adel"* etc. etc.

Książka pana Jerzego Pieniążka została wydana nakładem Sekcji Rodowej Komitetu Obchodu 250-ciolecia Odsieczy Wiedeńskiej. Ozdobiona została nieznanym dotychczas portretem Jana Trzeciego, pochodzącym ze zbiorów hr. Konarskiego oraz pięknym sztychem p. Michała Byliny, przedstawiającym husarję polską, ciągnącą pod Wiedeń. Dochód z rozprzedaży książki przeznaczony jest na odbudowę zamku w Olesku, gdzie się król Jan III urodził. Ofiary na ten cel przesyłać można do PKO. Nr. konta 27.605. Książka będzie niebawem uzupełniona spisem ofiarodawców.

*

Studjum d-ra Ludwika Łakomego p. t. „Prace polskich techników i ekonomistów nad zjednoczeniem Górnego Śląska z Rzeczpospolitą", wydane w Katowicach, powiadamia o dokonywaniu tych prac po plebiscycie. Przemysł tamtejszy był i jest w rękach Niemców, ludność robocza polska. To też, jak pisał śp. Teodor Tyc, „Huty głosowały za Niemcami, kopalnie za Polską". Za Niemcami także byli komuniści i projekt angielski, popierający swą tezę fałszywą statystyką. Wśród chaosu aprowizacyjnego i walutowego, terroru niemieckiego i szkodnictwa czeskiego, dzięki memorjałowi ekonomistów polskich, ogłoszonemu w celu uświadomienia o istotnym stanie sprawy górnośląskiej, podtrzymaniu ruchu kolejowego i wreszcie bohaterstwu powstania Korfantego, można było spodziewać się, że bodaj część Śląska wróci do polskiej macierzy.

Dokonany podział, wedle zdania dra Olszewicza i późniejszych doświadczeń, cechuje z punktu widzenia gospodarczego niesłuszność i nielogiczność. Granica rozbiła objekty górniczo-hutnicze. Przeciętych zostało 112 pól górniczych. Kopalnia w Bielszowicach została podzielona w ten sposób, że szyb Delbrück wraz z koksownią znajduje się po stronie niemieckiej, a główne jej pole odbudowy, szyb powietrzny kopalni i część chodników posadzkowych po stronie polskiej. Tak samo kilka innych kopalń. W tych warunkach, aby stworzyć warunki produkcji i zbytu, przedsięwzięli polscy geologowie, inżynierowie i ekonomiści, działacze narodowi, szereg prac naukowych. Broszura dra Ludwika Łakomego przedstawia historję tych prac i wskazuje na konieczność dalszego ich postępu i rozwoju. Wnioski swe motywuje cyframi, obrazowo i przejrzyście. (A. W.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

WYSTAWY w Zachęcie uległy tylko zmianie połowicznej, gdyż część obrazów pozostała z poprzedniego pokazu p. t. „Koń i Żołnierz w Sztuce Polskiej". (Niechże więc ci, którzy dotychczas nie mieli sposobności obejrzeć tych dzieł z powodu wakacyj, teraz skorzystają ze sposobności).

Pozatem „Szczep Szukalszczyków" wystąpił po raz drugi, na terenie Zachęty, ze zbiorem swych prac. Niestety, tym razem nie mogę, tak jak uprzednio, częstować Szukalszczyków tylko słowami pochwały. I przedtem, obok sporych i tęgich zalet, widziałem w ich pracach również usterki. Rozmyślnie jednak o nich nie wspominałem, gdyż ważniejsze od szukania dziury w całości, wydało mi się podkreślenie odmiennej i dzielnej ambicji młodych artystów. Choć teraz mogę w dalszym ciągu, jako Polak, ich zamiarom przeciwstawienia się, częstemu u nas, zezowaniu w stronę sztuki żydo-francuskiej, przyklasnąć; jako artysta jednak muszę zaprotestować przeciwko walce z tem zapomocą własnych słabych obrazów.

A ku temu się właśnie kroi. Nie jest ważne, że Szukalszczycy wybrali sobie tylko jedną połać sztuki — rysunek: ważniejsze są błędy, które, pracując na tym odcinku, zaczynają coraz częściej popełniać. A więc rysunek „wypiłowany" nie zawsze oznacza umiejętność rysowania; używane przez nich cieniowanie ołówkiem nierzadko przypomina manierę retuszu fotografa, gdy ten pragnie naśladować „artystę".

Treść pozaplastyczna tęgiemu dziełu nigdy nie zaszkodzi, ale co innego treść, a co innego literatura. Ta ostatnia, traktowana jako jedyny argument, nigdy nie zdoła ocalić obrazu, słabego pozatem. Znane to prawdy i nie trzeba zbyt długo nad niemi się zastanawiać.

Konkluzja jest aż nazbyt prosta: chcecie panowie robić dobre rysunki, to się uczcie rysować (niektórzy z was już to umieją), a wszyscy: pomyślcie nietylko o treści rysunków, ale i o nowem, świeżem ujmowaniu świata widzialnego, odzwierciedlającem postawę artysty polskiego wobec współczesności.

Nie wystarcza uświadomić sobie, iż pewne prądy są błędne i dla sztuki naszej szkodliwe, trzeba im umieć przeciwstawić prawdę własnej wizji. A wizja ta niekoniecznie ma się mieścić w ustalonym dla wszystkich, jednakowym schemacie symboliki.

*

Kolekcja Tadeusza Henryka Dąbrowskiego składa się z pejzażów, malowanych akwarelą. Rysunek jest poprawny, technika wprawna, najbardziej szwankuje kompozycja. Prostokąty obrazków rozbija pstrokacizna drobnych plam barwnych, nie mających żadnej osi kompozyjnej, ani rysunkowej, ani kolorystycznej. Ujęcie odtwarzanych fragmentów jest już zanadto „pierwsze lepsze": skrawki natury, bez żadnej ambicji przemiału tego, co ona dostarcza, popprawiał artysta poprostu w ramki. Brak dyscypliny wewnętrznej i niedostatki psychiki artystycznej nie pozwalają temu, zdolnemu skądinąd artyście na pokonanie własnych błędów.

WIKTOR PODOSKI

FILM

„FILHARMONJA": „Pożegnanie z bronią", reż. Frank Borzage, według powieści Hemingwaya.

Film, zapowiadany już w roku zeszłym, miał być, według zapewnień reklamy, „arcydziełem". Nie podpisując się zbyt pohopnie pod tem określeniem, można utworowi Borzaga przyznać pozatem spore zalety. Przedewszystkiem zasługują na pochwałę: fotografja i praca operatora. Reżyser wespół z operatorem dużo wysiłku i pomysłowości włożyli w utrwalanie nakręcanych scen pod coraz to innym kątem widzenia, zawsze oryginalnym i świeżym, lecz nie dziwacznym. Zdjęcia są miękkie, soczyste, malarskie. Migotliwość obrazów w ogrodzie, podczas sielanki ochotnika armji włoskiej z pielęgniarką, ruchliwość listowia, plamy słoneczne na pniach i ziemi, przywodzą nieraz na pamięć płótna Siemiradzkiego. Także formy treści plastycznej są starannie rozmieszczane na prostokącie ekranu. Ta dbałość o dobrą kompozycję obrazu, znajdującego się w danej chwili na ekranie, przypomina nam, b. ambitnych pod tym względem, Rosjan. Ale tamci są przeważnie bardziej graficzni, Borzage zaś — malarski.

Treścią filmu, o niezłożonej fabule, są proste dzieje miłości, która wyrosła z przypadkowej przygody. Ten poemat miłosny, dzięki grze i robocie reżyserskiej, przepojony został liryzmem, tonującym fizyczną stronę uczucia. Wygrano go pełnią możliwości aktorskich. Aktorzy mają tu pole do popisu i korzystają z tego „całą gębą". Zapewne, nie jest to właściwe z punktu widzenia surowego klasyka filmu. René Clair inaczej się posługuje aktorem, nawet Sternberg — choć w Ameryce — nie pozwala mu na tego rodzaju koncerty. Lecz Helena Hayes, w roli zakochanej bez pamięci, gra tak subtelnie i umiera tak wzruszająco, że któżby tam miał zbyt wiele pretensyj do panów wytwórców filmowych, gdy przez naszą łezkę wzruszenia chcą trafić do naszej kieszeni.

Z momentów o wysokiej klasy artyzmie (bez łaskotania gruczołu łzowego) mamy do zanotowania taki np.: ranny żołnierz leży na wózku szpitalnym, popychanym przez sanitarjusza. Z chwilą przekroczenia przez wózek progu szpitala, nie widzimy już nic, tylko sufit korytarza, wciąż dalej i dalej. Tak reżyser pokazał widzowi rzeczywistość oglądaną przez rannego i zmusił nas do patrzenia na nią jego oczyma (ranny jechał, leżąc na wznak).

Sceny zbiorowe w plenerze świetnie ujęte i fotografowane.

Partner H. Hayes, Gary Cooper, ujmuje grą prostą, spokojną, a zarazem wymowną.

Na zakończenie uwaga. Podobno film został zabroniony we Włoszech. A to dlatego, że bohater filmu, włoski oficer przy ambulansach, wieje z wojska (okoliczność łagodząca: ochotnik - cudzoziemiec) w poszukiwaniu ukochanej, która przepadła bez wieści.

Miał więc Mussolini swoje racje.

KANDYD

ZMARLI

Ś. P. IRENA PUZYNIANKA

ŚMIERĆ śp. Ireny Puzynianki (z rodu książąt Puzynów) okrywa żałobą organizacje kobiet polskich, których była ideową przewodniczką, i cały ogół narodowy, umiejący ocenić pracę u podstaw kultury obywatelskiej.

Śp. Puzynianka stała na czele elity kobiet polskich, ożywionych ideą twórczości narodowej. Okres jej najintensywniejszej pracy przypada na czas posłowania do I Sejmu Ustawodawczego, w r. 1922 — 1928. Problemy społeczne, które interesowały ją najbardziej, to budowa rodziny na zasadach tradycji religijnej i narodowej, opieka nad matką i dzieckiem, a w szczególności nad dziećmi, pozbawionemi praw cywilnych, praktyczne i ideowe wychowanie młodzieży żeńskiej w imię zasad katolickich i narodowych, zwalczanie przestępczości, szczególniej małoletnich i łącząca się z tem kwestja walki z alkoholizmem.

Największą zasługą życiową śp. Puzynianki jest założenie Narodowej Organizacji Kobiet, pierwszego zrzeszenia kobiecego o charakterze politycznym na ziemiach Polski, łączącego kobiety wszystkich stanów w imię haseł narodowych i katolickich. Organizacja ta była stałem źródłem dopływu sił społecznych w postaci pracowniczek ideowych z obozu narodowego. Puzynianka poświęciła jej najlepsze lata pracy i największy wysiłek swego życia. Stwarzając N. O. K., nie chciała, aby kobiety brały udział w walkach partyjnych, ale wyobrażała sobie, że kobiety, narodowo czujące, swoim wpływem wychowawczym na społeczeństwo odegrają rolę zespalającą i cementującą cały naród.

Gdy wskutek rodzinnych warunków ks. Puzynianka opuściła Warszawę i zamieszkała w Poznaniu, była i tutaj czynną w poznańskiem N. O. K. Pobyt jej w Poznaniu, gdzie teraz zmarła, zaznaczył się ostatnią już w życiu inicjatywą, a mianowicie działalnością opiekuńczą nad emigrantami. Jako członkini Zarządu Głównego „Opieki polskiej nad rodakami na obczyźnie", zwróciła się z wnioskiem do J. E. ks. Prymasa o założenie Okręgu Poznańskiego Opieki nad emigr. Jako członkini Zarządu tego Okręgu Puzynianka wnosiła do organizacji swoją długoletnią rutynę, zapał niestrudzony i nieustającą inicjatywę. Sława jej płomiennych przemówień, któremi porywała za sobą tłumy kobiet na wiecach i zjazdach, któremi umiała rozpalać w nich najszlachetniejsze uczucia i ofiarność, któremi je podnosiła i ulepszała, roznosiła się szeroko i daleko po kraju całym. Obok tego potrafiła też oddziaływać indywidualnie na poszczególne, pracujące społecznie kobiety, dbając zawsze o wysoki etyczny poziom pracy narodowej.

Cześć jej pamięci!

ERRATA

W artykule p. t. „Klio w gościnie u Syreny" w nr. 30 „Myśli Narodowej" zauważone zostały następujące błędy korektora:

Szpalta 2, al. 2, w. 3 po „kwefów" skasować należy dwukropek, wstawić zaś przecinek po „nawet".

Szpalta 2, al. 4, w. 4 ma być „dominował".

„ 4, „ 4, w. ostatni ma być „Mredsous".

„ 5, „ 2, „ 6 od końca zamiast „w Polsce" ma być „dla Polski".

Szpalta 6, al. 4, w. 4 zamiast „Bidla" ma być „Rittera".

„ 6, „ 7, „ 3 od końca ma być „Dépréaux".

„ 7, „ 1, „ 1 po „francuzi" ma być „Réau".

„ 7, „ 1, „ 3 ma być „Bersano-Begey".

OFENSYWA

ŻYDZI O KAZIMIERZU WIELKIM

PODCZAS gdy Polacy w Polsce obchodzą uroczyście rocznice dwóch wielkich panujących, którzy mieczem rozszerzyli granice państwa, a zwycięski oręż rozsławili po świecie, podczas gdy cała prasa polska od kilku miesięcy pełna jest hołdowniczych wspomnień i syntez o dziele żywota Stefana i Jana III, to współrządząca i współrządowa prasa zwycięskiej i faworyzowanej mniejszości ostentacyjnie i demonstracyjnie wyciąga innego króla polskiego, jemu składa czołobitnie i jemu pali kadzidła. Któregoż sobie wybrali?

Stefan Batory i Jan Sobieski nie odpowiadają im, nie konwenjują jako „militaryści" i tacy, którzy zbyt wielką sławą i splendorem otoczyli imię Polski zagranicą. Na swego faworyta i ulubieńca obrali sobie ostatniego Piasta, Kazimierza Wielkiego. W sześćset lat od jego koronacji cała prasa żargonowa poświęciła królowi Kazimierzowi wdzięczne i rzewne wspomnienia. W pansemickim „Naszym Przeglądzie" z dnia 16 lipca 1933, w dwóch wielkich hymnach „Król Chłopów" wychwalony jest jako Król Żydów, z wyraźną nieprzyzwoitą wprost tendencją". Omawiane jest z entuzjazmem „misterjum" poety żydowskiego Ceitlina „Ahaswer w Polsce", a „historyczny" wywód w trzech ciągach daje historyk żydowski prof. dr. Majer Bałaban. Czegóż się dowiadujemy z Bałabana i z Ceitlina? Oto ni mniej ni więcej tylko tego, że król Kazimierz był jakoby całkowicie w finansowej niewoli lichwiarzy żydowskich i w erotycznej niewoli (*sex-appeal*) żydóweczki z Opoczna. Prof. Bałaban prześwietla, do jakich granic miał się Kazimierz oddać w ręce żydów, a poeta Ceitlin udowadnia, do czego doszła „zniewieściałość" i „zdziecinnienie" (*sic*) twórcy Statutów Wiślickich (rodzinne miasto wiceprezesa BB., pos. Wiślickiego).

Już w owych czasach żydzi małopolscy istotnie ogromnie porośli w bogactwa. Od czego się zaczęło, to stwierdził w innej pracy historyk dr. M. Mieses. Żydzi handlowali w zaraniu dziejów Polski żywym towarem męskim, sprzedawali i kupowali niewolników. Już z pierwszej polskiej kroniki Galla wiemy, że żona księcia Władysława z końcem XI stulecia „wykupywała niewolników z rąk właścicieli żydowskich". Ze skargi mieszczan krakowskich, cytowanej przez prof. Bałabana (r. 1369) dowiadujemy się o ówczesnym Krakowie (600 lat przed burmistrzem Kapellnerem) że:

„Żydzi mają w mieście przewagę, wskutek czego mieszczanie cierpią tak materjalnie jak i moralnie. Żydzi szerzą wśród mieszczan zepsucie, przechowują w swych domach kradzione towary, a nawet złodziei, a przedewszystkiem są dla dłużników bezwzględni i z całą surowością wykonują wyroki sądowe".

Wśród ówczesnych lichwiarzy kroniki wymieniają rabina-bankiera Samuela, dalej niejakiego Jossmana, no a na pierwszem miejscu Lewka, syna Jordana, Geldhaba na wielką skalę. Ten „*vir discretus*" pożyczał pieniądze największym potentatom, wśród nich Rafałowi Tarnowskiemu, mieszczaninowi patrycjuszowi Wierzynkowi (Wirsingck) i Klemensowi Kurowskiemu, który ze skargą na lichwiarskie procenty Shylocka zwrócił się nawet do Papieża Bonifacego IX (1392). Nic też dziwnego, że król Kazimierz, który miał pasję budowania, taką zresztą jak August Saski („za króla Sasa jedz i popuszczaj") lub jak Stanisław August, dość szybko znalazł się w tarapatach i kolizjach finansowych i zaczął pożyczać u Lewka. W nagrodę za usługi pekuniarne zrobił go najpierw żupnikiem wielickim, a potem oddał Shylockowi mennicę krakowską. Od tego momentu rozpoczęła się hegemonja żydów w gospodarczem życiu Krakowa, tem łatwiejsza, że przeciw nim było mieszczaństwo krakowskie przeważnie niemieckie, a możnowładcy lubili się zadłużać („ułatwione życie"). Od tej niewoli próbowano się wyzwolić dopiero za następcy Kazimierza, dzięki Oleśnickiemu, Długoszowi, „statutom nieszawskim".

Budowanie murowanych kościołów i zamków było atoli tylko jedną pasją króla, drugą były kobiety. I tej pasji drugiej poświęcone jest „misterjum" (*sic*) Ceitlina, na którego fakturze „znać wpływy Wyspiańskiego i Pereca" (*sic*). Z żoną Adelajdą król Kazimierz nie chce mieć dziecka, choć Adelajda (Niemka) i płacze i narzeka. Według poety Ceitlina zniewieściały regent sam chce być... dzieckiem, zdziecinnieć:

„Zwraca się do księdza, aby dlań wyszukał kobiety, którąby go pokochała nie dla jego dumy i purpury królewskiej. Król Kazimierz jest za dumny, aby Boga prosić. Niech się więc zgłosi kobieta, która potrafi króla p r z e i s t o c z y ć w d z i e c i ę, a wówczas będzie on Kazimierzem Boga. Albowiem nie sądzone jest silnemu stanąć w obliczu Boga. Kazimierz szuka niewiasty takiej, któraby mu była równą. Niech będzie albo królową, jak on jest królem, albo t e ż d z i e c k i e m, takiem samem, jakiem on pragnie być".

Na ironiczne zapytanie jednego z wojewodów, czy zgodziłby się na żydówkę, król „odpowiada twierdząco". „W tej samej chwili zgłasza się na Wawel delegacja żydowska ze skargami i... z Shylockiem Lewkiem, dyrektorem mennicy państwowej. Król pacyfista gwarzy sobie z krakowskimi bankierami i lichwiarzami. Sam jest też smutny, bo w poszukiwaniu i oczekiwaniu nowych dreszczy. I oto jak poeta Ceitlin imaginuje sobie pierwsze *rendez-vous* czy *rencontre* pacyfisty z... wampem, z... Dalilą:

„Zalega cisza, którą nagle przerywa żałosny płacz. Kazimierz został płaczem dziecięcym serdecznie wzruszony, tak, zapewne, płaczą aniołowie. Okazało się, że był to płacz dziewczyny żydowskiej Esterki, córki właściciela gospody w Opocznie. Dziedzic Paszko zgładził jej ojca i chciał ją zniewolić, uciekła przeto na Wawel, do króla po ratunek i opiekę. Wszak król ukróci gwałt i samowolę. Sprowadzono ją zatem przed oblicze władcy, który wnet został olśniony jej niezwykłą urodą, wyrażającą dziecięcą niewinność, prostotę, bezradność, rzewność i smutek. Wreszcie zjawiła się ta, za którą król tęsknił nieustannie. Widok płaczącego dziewczęcia napawa Kazimierza otuchą i nadzieją. W tej chwili król poczuł Boga.. Esterka pokochała Kazimierza nie ze strachu, ale dlatego, że ujrzała w jego oczach bezdenną błogość, nie potężnego króla i biednej dziewczyny żydowskiej, lecz dwojga rozkochanych w sobie dzieci. W ten sposób legendarny Ahaswer rozbił swe namioty na ziemi polskiej".

Dosłownie: „w ten sposób legendarny Ahaswer rozbił swe namioty na ziemi polskiej"... na ziemi krakowskiej, w tej już wieczystej *vagina Judaerorum*, *vagina judophilium*. Że Ahaswer tu rozbił swe namioty (Polska po hebrajsku *Po-alei*— Tu spocznij!), to obok innych stwierdził też w omal 600 lat potem reporter Londres w swej znanej książce.

Ostatnio zaś jeden z mówców na Sjonistycznym Kongresie w Pradze, wychwalając obecny *régime* w Polsce, zaznaczył też, że „w Krakowie więcej w sobotę (w szabes) czuć (*sic*) święto żydowskie, jak w *Tel-Awiw*"...

My mamy ulice, oni kamienice.
My mamy legjony, oni... już... także...

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Wybitny działacz żydowski Sokołów (ojciec publicysty „Gazety Polskiej") ma podobno wydać książkę, opartą na wywodzie historycznym, że Polacy byli, są i będą przednią strażą narodu żydowskiego. Oni obronili Wiedeń od Turków na to, żeby zawładnęli nim żydzi. W rozumie i bohaterstwie Polaków leży rękojmia bezpieczeństwa żydów. Polacy pójdą im na odsiecz, choćby przeciwko sobie samym. Postulatem politycznym żydów na dobę najbliższą jest uzyskanie dla Polski mandatu palestyńskiego. Przyjść z odsieczą od Arabów jest obowiązkiem Polaków. Tego żydzi mają prawo domagać się od nich.

*

Między sanatorami:
— Byczo jest.
— Naogół jest dobrze, ale byłoby lepiej, gdyby nie paskudne pozostałości czasów dawnych.
— No, naprzykład?
— W szkołach np. byłoby dobrze, gdyby nie rodzina, w wyższych uczelniach — gdyby nie profesorowie i studenci. W całem państwie byłoby lepiej, gdyby nie społeczeństwo.
— Detale, detale!

*

Świat dziennikarski i literacki pozostaje pod wrażeniem wielkiej sensacji.
— W prasie sanacyjnej odnalazł się przymiotnik: „narodowy"!
Nie! niemożliwe — skąd, gdzie, jak? — gadajcie.
— Oto ostatni numer „Gazety Polskiej". Na czele numeru artykuł p. Matuszewskiego, a nad nim przez całą stronę wielki napis: „Pożyczka narodowa". Najwyraźniej: „na-ro-do-wa!"
— No, no...

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA PPOCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.